

Patrycja Kowalska
II LO im. Marii Konopnickiej w Opolu

i

Dominik Kowalski
LO im. Mieszka I w Zawadzkiem

Obrazy małej ojczyzny, jako sny we współczesności

**Praca napisana w ramach XII edycji konkursu „Historia Bliska”
„Mała ojczyzna w pamięci i świadectwach”**

Zawadzkie - Opole 2008

WSTĘP

Pojęcie „mała ojczyzna” nie jest jednoznaczne. Z tego względu, jako temat jakiegokolwiek opracowania może być interpretowana na różne sposoby. Z drugiej jest w tym też i pewna dogodność – można sobie go zdefiniować na swój sposób, nie odbiegając od sedna sprawy. Na czym owo sedno zatem wg nas polega? Mała Ojczyzna to obszar – niewielki, znany tylko jego mieszkańcom, ukochany (wszak ojczyzna!). Jeśli tak, to na czym polegają możliwości interpretacyjne? Sądzymy, że na wynika to z odpowiedniego doboru osób. Są ludzie, którzy swoje pierwotne ojczyzny utracili bezpowrotnie... Odszukaliśmy takie osoby i zapytaliśmy o znaki szczególne ich ojczyzn utraconych - miejsca, ludzi i zdarzenia. Chcieliśmy uzyskać odpowiedzi na m. in. takie pytania: Ile znaczy dla nich pojęcie Małej Ojczyzny? Z czym się kojarzy? Czym dla danej osoby jest Mała Ojczyzna? Miejscem? Konglomeratem miejsc, zdarzeń i ludzi? Czy też mają jakieś inne, indywidualne podejście do tego pojęcia? A przede wszystkim chcieliśmy się skupić na temacie utraconych małych ojczyzn. Zapytać o to, jak można utracić małą ojczyznę i czy w ogóle to możliwe. Naszym głównym celem w realizacji założonego zadania było odnalezienie odpowiednich osób. Chcieliśmy, poprzez wywiady z różnymi ludźmi, pokazać tę indywidualną treść konkursowego zadania. Ostatecznie ukazać związek losu jednostki i miejsca. Temat narzuca pewną refleksję o małej ojczyźnie jako obrazie przetrzymywanym najczęściej jedynie w pamięci, w postaci skrawków wspomnień, tłących się ulotnie, a jednak trwałych i stałych w swojej sile oddziaływania. Wyszliśmy z założenia, że miejsca zamieszkania się zmieniają, ale Mała Ojczyzna jest raczej tylko jedna.

Postanowiliśmy wziąć udział w konkursie z kilku powodów. Po pierwsze temat wydaje się nam interesujący. Po drugie jest chyba bliski każdemu. Po trzecie zaś, wiek dwudziesty tak mocno naruszył stare wspólnoty i wywołał takie fale migracji, oraz tak wielkie zmiany w krajobrazie, że uczynił z pamięci jedyną ostoję dla Małej Ojczyzny, która drzemie we wspomnieniach i stanowi zupełnie odrębny świat wobec współczesności. Po czwarte i ostatnie - dla początkujących historyków wydobywanie tych światów na zewnątrz stanowi niezły poligon ćwiczeniowy. Uznaliśmy za swoje zadanie nie tylko poznać ciekawych ludzi, ale przede wszystkim utrwalić w jakiś sposób ich indywidualne historie, które niezapisane, mogłyby kiedyś zostać zapomniane. Przecież odchodzą wraz z ludźmi, z którymi powstają...Konkurs jest niecodzienną okazją do poznania osób, które przetrwały wojny, zmiany ustrojów, mentalności i czasów. Takie osoby codziennie odbiera nam czas. Tak

oto konkursowe zadanie pozwala ratować „źródła historyczne”, jakimi są żyjący ludzie. Nie bez znaczenia było również wyzwanie, jakie stanowi konieczność samodzielnej selekcji i interpretacji owych personalnych doświadczeń. Zadaniem jakie sobie również wyznaczaliśmy było skonfrontowanie funkcjonujących w nauce i literaturze pojęć, idei lub zdarzeń z przeżyciem jednostkowym. Jest to historia niepodana interpretacji naukowej. Jesteśmy ciekawi, czy pokrywa się ona z ideałami kreowanymi w mediach i w szkole. Ponadto historia bliska nie jest perspektywą wielkich postaci i wydarzeń, lecz przeciętnych, ale zarazem niezwykłych ludzi. Dla tych ludzi wielkie wydarzenia i postacie były tłem indywidualnego losu. Zauważaliśmy często, jak „wieka historia” obchodziła się z naszymi bohaterami, ale tak w istocie ich jednostkowy, codzienny los okazywał się istotniejszy.

Jako że temat nie narzuca jednoznacznej koncepcji, ani sztywnych ram czasowych (te niejako wynikają z wyłączenie z długości życia ludzkiego – wszak bazujemy na pamięci!) daje pewnego rodzaju swobodę i pobudza naszą kreatywność, a także zapał do pracy. Dzięki temu możemy do tego podejść indywidualnie, co zresztą jest chyba wskazane przy tak subiektywnie postrzeganym pojęciu, jakim jest Mała Ojczyzna.

Postanowiliśmy do pojęcia małej ojczyzny podejść w sposób nie tylko dosłowny, ale i metaforyczny. Chcieliśmy pójść w kierunku małej ojczyzny traktowanej jako raj utracony, lecz w różnoraki sposób. Na początku szukaliśmy osób z Kresów Wschodnich, gdyż to pierwsze miejsce, które przyszło nam do głowy na myśl o utraconych ojczyznach. I rzeczywiście, większość naszych rozmówców pochodzi z Kresów i utraciło je na różne sposoby, które staramy się w pracy porównywać. Pojęcie ojczyzny utraconej jednakże nie wiąże się tylko z opuszczeniem jej w sensie fizycznym. Oznaczać też może zmianę na miejscu, w skali i jakości całkowicie zacierającej pierwotny charakter danej okolicy. Z tego powodu postanowiliśmy także wysłuchać historii tych, którzy w swoich małych ojczyznach mieszkają od urodzenia i utracili je mniej dosłownie, np. poprzez postęp technologiczny, urbanizację, biegnący czas. Naszym celem będzie przedstawienie obu rodzajów historii indywidualnych, poszukanie cech wspólnych i zdefiniowanie pojęcia Małej Ojczyzny. Każdy rozmówca w inny sposób przedstawił swój obraz małej ojczyzny. Dlatego do każdego z nich podeszliśmy indywidualnie. W niektórych przypadkach ujęliśmy małe ojczyzny w kilka symboli, które je reprezentują, inne są w formie monologu wewnętrznego, w jednym przypadku jest to wypowiedź bezpośrednia na bazie wywiadu. Wynika to z różnic w osobistych relacjach, które trzeba było potraktować indywidualnie.

Geograficznie nasza praca dotyczy wielu obszarów. Kładąc nacisk na indywidualizm przeżyć i pojęć, „sięgnęliśmy” po rozmówców z Kresów Wschodnich, oraz obecnych

wschodnich terytoriów Polski, dokładnie chodzi nam o takie tereny jak Leżajsk, Rzeszów, Drohobycz, Sądowa Wisznia i Ustrzyki Dolne (czyli okolice Lwowa). Są wśród naszych interlokutorów też i Ślązacy, pochodzący z Zawadzkiego i pobliskich miejscowości (Kokotek, czy Krupski Młyn).

Nasi rozmówcy są w wieku powyżej siedemdziesięciu lat. Tak więc chronologicznie będziemy w naszej pracy sięgali do czasów przedwojennych, przypadających na lata trzydzieste, później czasy PRL i współczesne. Jednak z pracy wynika, iż moglibyśmy zawęzić ramy czasowe naszego opracowania, ponieważ ścisłe pojęcie Małej Ojczyzny kojarzy się naszym rozmówcom prawie wyłącznie z latami dzieciństwa i młodości.

Źródeł szukaliśmy głównie wśród obecnych mieszkańców Opola, choć to nie było regułą. Znalezienie osób ze wschodu w Opolu nie było trudne, ze względu na aspekt historyczny (ziemie odzyskane i sprowadzeni na nie ludzie). Zwróciliśmy się do dziadków naszych kolegów, własnych krewnych, ludzi poważanych w środowisku, a w jednym przypadku także zwróciliśmy się do stowarzyszenia AK w Opolu.

Największą trudnością było wydobyć od rozmówców odpowiednich wspomnień. Zazwyczaj opowiadali całościowo, zbyt ogólnie, trzeba było ich dopytywać o szczegóły. Wplatali w swoje opowieści wiele co prawda ciekawych anegdot i historii, ale czasem niezwiązanych z tematem. W tych przypadkach mieliśmy trudności z grzecznym przerywaniem tych skądinąd interesujących opowieści. Często nie śmieliśmy tego robić, ale mieliśmy wrażenie, że nasi mili gospodarze (prowadziliśmy rozmowy w domach respondentów) zbyt odbiegają od zadanego im tematu. Dlatego powstała kolejna trudność – jak z tych opowieści wydobyć pożądane informacje tak, aby pasowały do tematu konkursu. – w wielu przypadkach odpowiadałyby one tematowi poprzednich edycji „Historii Bliskiej”.

Wraz z ilością zebranego materiału zaczęła się też kształtować koncepcja pracy. Aby ją uzyskać porównywaliśmy wypowiedzi naszych rozmówców i szukaliśmy w nich zbieżności i uniwersalnych uogólnień.

Pragniemy podziękować wszystkim respondentom za niezwykle interesujące relacje, poświęcony nam czas i cierpliwość w odpowiadaniu na nasze nie zawsze łatwe pytania; oraz wszystkim którzy w jakikolwiek sposób pomogli nam w realizacji naszego tematu.

MAŁA OJCZYZNA W WYDANIU PANI KAZIMIERY

***„Mała ojczyzna to, jak głosi stare przysłowie: gdzie chleb tam i ojczyzna,
natomiast dla mnie to coś więcej. Chleb jest potrzebny do życia, ale
najważniejsze są kontakty międzyludzkie.”***

***Kazimiera Lasowa de domo Andrusiewicz, lat ok. 70, pochodzi z Sądowej Wiszni na Ukrainie, obecnie
zamieszkała wraz z mężem Zenonem w Opolu, woj. opolskie, z zawodu nauczyciel***

MOJA MATKA MOJĄ GWIAZDĄ

„Dom to wcale nie są ściany i sufity i podłogi ale ręce naszej mamy”

/ Anna Kamieńska /

Matka dla Kazi zawsze była centrum, wokół którego gromadziło się życie całej rodziny. Bardzo wczesnie owdowiała, w momencie, kiedy jej 33-letniego wówczas męża zabił oddział UPA. Męża zabito niewinnie, zaszła niefortunna pomyłka. W rodzinie zawsze mówiono na nią „bohaterka”. Bardzo ciężko było jej utrzymać piątkę dzieci. Spała nieraz po trzy godziny na dobę. Musiała w środku nocy stać w kolejce po chleb, którego zazwyczaj nie dostawała wiele. Cukru i mąki nie można było dostać wcale, chyba, że było jakieś święto. Po śmierci ojca mama nie mogła iść do pracy. Miała małe dzieci, których nie miała gdzie zostawić i obłożnie chorą matkę. Dopiero w pół roku po śmierci męża dostała niewielką rentę dla dzieci. Lżej jej było dopiero wtedy, kiedy najstarszy brat Kazi poszedł do pracy. Kazia wie, że mama wiele przeszła w życiu. Pewnego dnia nie miała już czego dać swoim dzieciom do jedzenia. Bała się, że nadejdzie taki moment, kiedy zaczną puchnąć z głodu. Poszła na strych z zamiarem powieszenia się. W tej samej chwili zawołała ją przez przypadek Kazia z dołu, mama jakby w tej chwili ocknęła się. Dotarło do niej, że nie może przecież zostawić swoich dzieci na pastwę losu. Nie zrobiła tego. Mama dla Kazi zawsze była wspierającym autorytetem. Potrafiła wychować Kazię bez zazdrości. Uczyła, że to, co ich otacza, jest chwilowe i to wszystko przecież kiedyś zostawiają. Dlatego nie można się do tego przyzwyczajać. Mama krzewiła szacunek do starszych osób. Zawsze siadała z Kazią i opowiadała jej, jak to było u niej w domu. Wspominała zwyczaje rodzinne. Jej ojciec zawsze musiał w niedzielę rano wyczyścić wszystkim domownikom buty. Potem cała rodzina wyruszała do kościoła w odpowiedniej kolejności. Najpierw szły dzieci, potem rodzice, a na

samym końcu dziadkowie. Takie były zwyczaje u mamy. Mama uczyła wstrzemięźliwości, miłości, skromności, tak, aby jej dzieci nie interesowało co się dzieje w innych ogródkach. To ona zawsze podtrzymywała tradycje polskie w rodzinie. Była patriotką. Kazia potrafiła ją zdenerwować w jeden sposób. Kiedy w radiu leciał hymn rosyjski, Kazia wskakiwała na krzesło i udawała, że salutuje, lub śpiewała piosenki o Leninie. To doprowadzało mamę do wściekłości.

*Pani Kazimiera bardzo kochała matkę. Sprowadziła ją do siebie do Bogatyni. Matka odeszła na jej rękach. Pani Kazimiera cieszy się, że matka wychowała ją w taki, a nie inny sposób. To, czego nauczyła ją matka – przekazała swoim dzieciom, aby one mogły przekazywać następnym pokoleniom. Matka była gwiazdą rozświecającą życie od najmłodszych lat. Była jedną z części jej małego świata, jej małej ojczyzny. Była centrum, wokół którego kumulowało się wszystko. Była niedoścignionym autorytetem, dlatego w pamięci pani Kazimierzy pozostanie na zawsze.

SZKOŁA DRUGIM DOMEM

„Szkola powinna dążyć do tego, by młody człowiek opuszczał ją jako harmonijna osobowość, a nie jako specjalista.”

/ Albert Einstein /

Szkola dla Kazi to miejsce szczególne. Uwielbia je ze względu na kontakty jakie można zawrzeć. Kazi podoba się to, że nie ma żadnej konkurencji w szkole, nie zwraca się uwagi na to, czy ktoś jest lepiej, czy gorzej ubrany. Wszyscy w miasteczku mają po równo, dzielą się każdą kromeczką chleba. Dla przyjaźni nie trzeba się zapraszać na wystawne przyjęcia, ale na takie, na ile kto posiada. Po szkole ze znajomymi potrafią godzinami spacerować po lesie. Nigdy się nie nudzą razem, mimo że nie mają zbyt wiele rozrywek. Nie znają jeszcze telewizji, a zamiast radia na okrągło „skwierczy kołchoźnik”. Towarzystwo zawsze było mieszane, Kazi nigdy nie przyszłoby na myśl, że mógłby ją ktoś zgwałcić. Z koleżankami zawsze niecierpliwie czekają na rozpoczęcie roku szkolnego. W wakacje często chodzą do szkoły wachać świeżo pomalowane ławki. Uwielbiają szkołę, mimo że panuje tam dyscyplina. Przed nauczycielem zawsze trzeba stać na baczność. Na przerwie trzeba wyjść z klasy i zachowywać się cicho, nie ma mowy o bieganiu korytarzem. Zabawy urządza się na

zewnątrz. Bawią się zazwyczaj w skakanki, klasy, chowanego i łapanego. Nawet w klasie maturalnej uwielbiają się bawić w takie gry. Nauczyciele zawsze zgodnie twierdzą, że ich uczniowie nigdy nie dorosną. Na koniec roku wszyscy uczniowie się zbierają i chłopcy kradną kwiaty z ogrodu sąsiada, aby wręczyć je nauczycielom. Dziewczeta siadają o zmierzchu i śpiewają różne piosenki. Są to zazwyczaj ukraińskie i rosyjskie dumki, takie ładne, melodyjne piosenki. Kazia uwielbia śpiewać, należy w końcu do chóru, który założono w Narodowym Domu Kultury. Ma nawet tradycyjny strój ukraiński, w którym jeździ z chórem na występy. Matura to wielkie wydarzenie w życiu Kazi. Czeka ją dziesięć egzaminów. W szkole kultywuje się wiele tradycji, np. tak jak pierwszoklasistów witała najstarsza klasa Kazi pierwszym dzwonkiem, tak teraz pierwszoklasiści żegnają klasę Kazi ostatnim. Kiedy jest już po egzaminach, maturzystów czeka nagroda – uroczysty bal maturalny, na którym uczniowie otrzymają świadectwa dojrzałości. Zgodnie z tradycją wcześniej rano po balu idą razem z profesorami na górkę niedaleko zamku aby powitać wschód słońca. Uczniowie nie muszą już kraść kwiatów z ogrodu. Tym razem to nauczyciele wręczają kwiaty uczniom, ostatni raz żegnając ich przy promieniach wschodzącego słońca, jako symbolu nowej, dorosłej już drogi życia.

* W relacji pani Kazimieri szkoła zajęła sporo miejsca. Widać, że wiąże z nią masę wspomnień. Szczególne miejsce zajmują w jej sercu rówieśnicy, z którymi spędziła tyle radosnych chwil. Pani Kazimiera twierdzi, że właśnie szkoła była od zawsze nieodłączną częścią jej małej ojczyzny. Była okazją nie tylko do zdobycia wykształcenia, ale przede wszystkim do nawiązania przyjaźni. Do dzisiaj utrzymuje kontakty ze swoimi przyjaciółmi. Wspomina jak tęskniła za nimi, kiedy mieszkała już w Polsce. Te wszystkie tradycje szkolne głęboko zapadły jej w pamięć. Pani Kazimiera nie może zrozumieć swoich wnuków, którzy nie cierpią chodzić do szkoły, jak zresztą większość uczniów obecnie. Nie rozumie także dzisiejszej młodzieży, która boi się wieczorem wyjść z domu, ze względu na niebezpieczeństwo napadu. Czasy się zmieniły, co do tego nie ma wątpliwości. Dobrze, że są jeszcze ludzie, którzy pamiętają inne, lepsze czasy i którzy mogą się podzielić swoimi radosnymi wspomnieniami tak jak pani Kazimiera.

DOM – MOJA PRZYSTAŃ

„Życie jest podróżą, która prowadzi do domu”

/ Hermann Melville /

Domu rodzinnego pani Kazimieri już nie ma. Teraz przechodzi tam most przez rzekę Wisznia. Rozebrano go wiele lat temu. Mimo to pani Kazimiera nadal go widzi przed sobą:

Dom nie jest duży. Mieści się niemal w centrum Sądowej Wiszni, koło Domu Narodowego. Można tańczyć do muzyki, którą słycać wszędzie wokół, kiedy jest próba. Od frontu kiedyś stał warsztat parkietowo – trumienny. Dziadek zawsze opowiadał, że nawet w łańcuckim pałacu są jego podłogi. Część warsztatowa była drewniana. Warsztat zamknięto po śmierci ojca. Dom mieści pokój i kuchnię po jednej stronie, a po drugiej kuchnię letnią i drugi duży pokój. W pokojach stoją porządne, masywne meble dębowe. To nic dziwnego, w końcu ten dom należy do stolarzy. W jednym pokoju stoi ładna toaleta z dużym lustrem i piękna szafa trzydrzwiowa. Na podłodze jasne parkiety, zawsze pastowane przez mamę. Obok cichym nurtem płynie rzeka. Za domem malutki ogródek, z wypielęgnowanymi przez mamę grządkami. W ogrodzie cała rodzina zawsze razem sadi ziemniaki. W lecie mama kisi ogórki i kiszoną kapustę. W małej stajence tuczył się świniak, z którego mama zamarynowała mięso i wytopiła smalec. Może dzięki temu ugotować zupę na łyżce smalcu, ze skwarkami. Z suszonych owoców wychodzi dobry kompot. W kuchni od zawsze kumulowało się życie rodzinne. Mama potrafi tak wszystkich poustawiać, że każdy wie kiedy i gdzie ma jeść. Stołu nie rozkłada się, dlatego wszyscy nie mogą jeść razem. Najpierw zasiadają ci co pracują, Kazia z mamą jedzą na końcu. Do szkoły Kazia zabiera zamiast kanapek uprażony bób. Śpi w kuchni z babcią, mama z braćmi w jednym pokoju, drugi natomiast wynajmuje. Dostaje za niego 35 rubli. Szkoda tylko tych drobiazgów, które trzeba było sprzedać podczas wojny, żeby kupić chleb. Dom to ostoja rodzinnego ciepła.

* Dom często śni się pani Kazimierze właśnie w takiej postaci. Często śnił się także jej matce. Z domu zostało niewiele pamiątek. Pani Kazimiera ma obrus w czerwone róże na zielonym tle. Kiedyś często kładła go na stół, żeby popatrzeć. Miała do niego sentyment. Oprócz tego zachowała jeszcze figurkę św. Franciszka ze szkła, która ma ponad sto lat. Dumnie stoi u niej na komodzie. Mąż, słuchając opowieści pani Kazimieri o tym, jak twardy był bób, który musiała pogryźć stwierdza, że ona w porównaniu z nim miała jak w Wersalu. Domu dzisiaj już nie ma. Została tylko rzeka i wspomnienia pani Kazimieri, które przekazała wnukom. Nie da się rozstrzygnąć które, rzeka czy wspomnienia, przetrwa dłużej.

SĄDOWA WISZNIA W PAMIĘCI

Sądowa Wisznia – miejsce dzieciństwa i młodości Kazimierzy. W tym okresie przebiega tam szlak pomiędzy Iranem a Polską. Sądowa Wisznia znajduje się w Galicji, na trasie Medyka- Lwów. Kazimiera z dokładnością potrafi podać poszczególne przystanki. Medyka, Mościska, Sądowa Wisznia, Gródek Jagielloński i Lwów, który znajduje się około 50km od Sądowej Wiszni. Mieszą się w tej niewielkiej miejscowości trzy kultury: Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Większość rodzin w Sądowej Wiszni jest mieszkanką kultur. Kultura ukraińska była niezwykle barwna. Zwłaszcza odpusty, np. odpust Matki Bożej, odbywający się 19 sierpnia. Najpierw idzie zawsze procesja ukraińska, pięknie i barwnie ubrana, która niesie Madonnę, przedstawioną w sposób ukraiński. Polacy w tym czasie robią szpaler i witają procesję. Po pokazie wszyscy udają się do cerkwi. Po mszy zazwyczaj urządza się festyn. Siada się wtedy do stołów, grywa w różne zabawy. Festyn jest świetną okazją do zapoznawania się młodzieży. W Sądowej Wiszni z Polakami Kazia rozmawia po polsku, z Ukraińcami po ukraińsku. Nie zauważa konfliktów między nacjami, jak to ma miejsce w Ustrzykach Dolnych, miejscu urodzenia jej przyszłego męża Zenona. Nie żywi urazy do narodu ukraińskiego, ma tylko żal do UPA, która zabiła jej ojca. Stosunki ukraińsko – polskie były dobre, wyjątkiem była wojna. Wtedy kością niezgody staje się Hitler, który obiecuje Ukraińcom niezależną Ukrainę. Ukraińcy kłócą się w tym czasie nie tylko z Polakami, ale także między sobą. Sądowa Wisznia – miła, niewielka miejscowość. Domy bielone wapnem, niektóre kryte strzechą. Dom sąsiada, cały z drewna, wybudowany bez jednego gwoźdźca, podziwiany przez wszystkich mieszkańców. Niedaleko tego domu stoi czytelnia. Tu Kazia uczy się do matury. W Sądowej Wiszni brakuje w tym czasie kościoła. Jest tylko cerkiew prawosławna. Ulice nocą oświecane są jedynie blaskiem księżyca i gwiazd.

* Tak Sądowa Wisznia wyglądała jeszcze do niedawna. Dziś powoli wchodzi do niej cywilizacja. Jeszcze parę lat temu światło włączano na dwie – trzy godziny. Teraz elektryczność jest już wszędzie i o każdej porze. Wybudowano nowy szpital i przychodnię, budują hotel, wspomina pani Kazimiera. Miasteczko się rozrasta. Nie ma już domu pani Kazimierzy. Festyny też są już nieco inaczej obchodzone, nie jest pewna, czy są jeszcze w ogóle kultywowane. Wybudowano kościół katolicki. Obecnie pani Kazimiera jeździ tam przeważnie na pogrzeby. Zastaje co roku coraz mniej znajomych z lat szkolnych. Czas zmienia wszystko.

ROZSTANIA CZAS

Pani Kazimiera opuściła Sądową Wisznę 30.01.1967r. Była okropna zima, śnieg sięgał prawie do kolan i skrzypiał, mróz trzaskał, a droga świeciła się jakby ktoś wysypał na nią brylanty. Chciała przyjechać do męża, który był już w Polsce od jakiegoś czasu. Wyjeżdżała więc na zasadzie łączenia rodzin. W 1966r. Zawarli związek małżeński, w czasie, gdy pan Zenon przyjechał na urlop do wuja do Drohobycza. Kazimiera pracowała w szkole, gdzie była straszna ateizacja, mieli problemy z zawarciem ślubu. Odbył się on Mościskach w wielkiej konspiracji, gdyż mogłaby stracić pracę. Jechali do ślubu 16 km, zapchanym autobusem przelotowym Lwów – Mościska. Pani Kazimiera jechała z przodu, przyszły mąż się wcisnął z tyłu, a bratowa, która była świadkiem jechała taksówką. Kazimiera miała biały kostiumik, mąż miał czarny garnitur. Po ślubie chciała wrócić do Polski, repatriacja z terenów wschodnich skończyła się w 1958r. Później trzeba się było o powrót starać przez konsulat polski w Kijowie. W 1945r. wyjeżdżało rodzeństwo, a mama ze względu na małe dzieci i chorą matkę nie pojechała wtedy do Polski. Przymusu nie było żeby jechać, ludzie wyjeżdżali z myślą, że kiedyś wrócą. Kazimiera jechała sama do męża, na zasadzie łączenia rodzin. Jechała wtedy do Bogatyni. Dzień wyjazdu nie zależał od niej, był narzucony termin, inaczej odebrano by jej paszport. Jechała pociągiem do Mościsk, stamtąd pociąg relacji Warne - Warszawa, dotarła nim do Przemyśla, a z Przemyśla był pociąg Przemyśl – Wrocław. Następnie Wrocław – Bogatynia, który jechał z Warszawy. Podróż trwała dwie doby. Warunki były dobre, gdyż były to pociągi pośpieszne. W czasach repatriacji bagaż był ograniczony, kiedy ona można było brać bagaż według swoich potrzeb. Z paszportem miała duże trudności, trzeba było podawać rok urodzenia i zgonu dziadków i pradiadków, dlatego wymyślała mniej więcej jaka może być odległość między babcią a prababcią, trzeba było mieć zaproszenia, życiorys i zdjęcia. Potem pozostało tylko czekanie. Mąż wydzwaniał na pocztę do Kijowa, czy dostała paszport. Potem na pocztę już wiedzieli kiedy przyjechała, bo zmniejszyły się rachunki za telefon. Jak już dotarła zaczęła się uczyć poprawnej polszczyzny, kupiła sobie kilka słowników. Tęskniła za sąsiadami i koleżankami. Oni za nią również. Tęskniła za domem i rodziną, za braćmi i mamą. Nie myślała o powrocie, bardziej chciała ściągnąć rodzinę do siebie. Nie nosi urazy do Ukraińców, ale pozostał żal, że zabili jej ojca. Łatwo się przystosowała do nowych warunków kiedy wyjechała za mężem do Bogatyni. Na początku miała problem z językiem polskim, który był inny tu w Polsce. Wtedy milczała i

przysłuchiwała się. Kiedyś poszła do fryzjera, który zapytał czy nie spryskać jej włosów spryskiwaczem, a ona nie miała pojęcia co to jest. Nie rozstawiała się ze słownikiem. Swoje towarzystwo uprzedzała i przepraszała za ewentualne błędy i prosiła aby ją poprawiali. Nie znała takich słów, jak parapet, ubikacja (w szpitalu nie rozumiała co to znaczy). Tęsknota za rodzinnymi stronami pozostała do dziś. Nie utraciła swojej małej ojczyzny, opuściła ją tylko przecież. Zawsze może do niej wrócić, choćby jedynie pamięcią. Pani Kazimiera nie lubi palić za sobą mostów. Nie narzeka, ale i niczego nie żałuje.

JABŁOŃ PANA ZENONA L.

„Każdy ma swoją małą ojczyznę, do której wraca, swoje małe ziarenko ziemi. Człowiek wtedy jest jak ptak, który wraca do swojego gniazda.”

Zenon Lasowy, mąż Kazimiery, lat 75, pochodzi z Ustrzyk Dolnych w woj. podkarpackim, obecnie zamieszkały wraz z żoną w Opolu, woj. opolskie, z zawodu technik elektryk

Jak już wcześniej wspominaliśmy, każdego rozmówcę potraktowaliśmy w inny sposób. Relację pana Zenona przedstawiliśmy w formie wspomnień z wizyty po latach w Ustrzykach Dolnych, która miała miejsce w rzeczywistości. W czasie tej wizyty w panu Zenonie odezwały się silnym echem wszystkie wspomnienia związane z miejscem urodzenia. Potraktowaliśmy ją jako tło do przedstawienia osobistego stosunku naszego bohatera do

pojęcia małej ojczyzny.

Kolejny, spokojny dzień. Nie różni się niczym szczególnym od pozostałych. Słońce powoli chyli się ku zachodowi. Wokół cisza i spokój, atmosfera doskonała dla wspomnień. Pan Zenon spaceruje powoli drogą, tak niegdyś znaną, niby tą samą, a jednak zupełnie już inną. Przyjechał właśnie do swojej dawnej sąsiadki, do Ustrzyk Dolnych. Tak wiele się tu zmieniło od dziecięcych lat, kiedy biegał tą drogą ze swoimi kolegami. Nie ma już tych samych ludzi. Pamięta tę niezwykłą mieszankę kultur, kiedy żyli obok siebie Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Spotykał ich przecież codziennie, obcował z nimi. Relacje z tymi ludźmi zostały mu w pamięci. Żydów było najwięcej, stanowili oni przed wojną $\frac{3}{4}$ ludności miasteczka. Polaków i Ukraińców było mniej więcej po równo. Jacy byli Żydzi? Widzi ich, jakby to było wczoraj, śpieszących się do pracy, ubranych na czarno, z kapeluszami i brodami jako nieodłącznymi atrybutami. Niekonfliktowi, nie wchodzili nikomu w drogę. Zastanawia się dlaczego nie znał bliżej żadnego Żyda. Być może dlatego, że zarówno Polacy jak i Żydzi egzystowali jedynie obok siebie, a nie ze sobą, każdy przecież trzymał się swojego towarzystwa. Odmienność czasem chyba jednak stwarza dystans. Dystans ten podtrzymywali także sami Żydzi. Nieraz wygłaszali starą, miejscową zasadę „nasze kamienice, wasze ulice”. Niektóre obrzędy Zenon mógł obserwować naocznie. Wiele razy widział z okna wychodzącego na cmentarz żydowski jak Żydzi swoim zwyczajem strzepują okruchy z kieszeni na groby swoich bliskich. Dlaczego Ukraińcy nie mogli być tak zdystansowani jak Żydzi? Dzieciństwo spędził wśród wiecznego konfliktu polsko – ukraińskiego. Widział to na własne oczy, tę narastającą niechęć i rywalizację. Ukraińców pamięta jako zawziętych i niechętnych, choć nie może tego powiedzieć o wszystkich. Przecież Tońcio – kolega z lat dziecińczych był wspaniałym towarzyszem zabaw. Zenon skręcając w boczną uliczkę przypomina sobie, jak świetnie się bawił właśnie w tym miejscu. Zabaw było wiele. Doskonale pamięta grę w piłkę. Być może dzisiaj zdobycie piłki to nic szczególnego, ale w tamtych czasach to zależało wyłącznie od sprytu i wyobraźni dzieciaków. Piłkę trzeba było zrobić samodzielnie. Przecież właśnie tu, niedaleko była rzeźnia. Tam przychodziło się podczas bicia krów i zabierało pęcherze. Następnie koledzy owijali pęcherz szmatami przyniesionymi z domu i piłka była gotowa. Nieopodal prowizorycznego boiska grali w kiczki. Do dziś pamięta zasady. Na podstawie stawiali patyczki, które naciskali tylko sobie znanym sposobem. Jeden z kolegów ustawiał kamienie, które były miarą. Zwycięzca musiał rzucić jak najdalej się dało. W co jeszcze się bawili? Pyta siebie pan Zenon i próbuje wydobyć z pamięci wspomnienia, kiedy był jeszcze małym Zenkiem. Grali przecież jeszcze w palanta. Pamięta, jak uderzał małą palantówkę kijem i musiał potem biegać naokoło pola,

żeby zdobyć bazę. Tak, to były szczęśliwe czasy. Co prawda nie było zbyt dostatnio w domu, ale zawsze pozostawała jedna myśl: za Polski były dobre czasy. To miało się wkrótce zmienić. Pan Zenon pamięta pierwszy dzień wojny bardzo dokładnie. To zburzyło jego mały świat, budowany od urodzenia. To zdarzył się pięknym przedpołudniem. Usłyszał huk i strzały. Bombardowano okolicę. U nich w domu poszły wszystkie szyby, tak, że musieli się przenieść do innego miejsca. Niemcy, to jego zdaniem naród, który wyznaje zasadę: „silny wygania słabszego”. Ukraińcy mieli wreszcie możliwość rewanżu na Polakach i Żydach. Tę okazję dali im Niemcy. Dzisiaj ta ulica wygląda zupełnie inaczej. Cisza i spokój. Wtedy także było cicho. Słyszał tylko jedyne skrzypienie wozów drabiniastych, pełnych ciał Żydów, którzy szli jak „baranki na rzeź”. Dziś nie ma po nich śladu. Czy Zenon wierzy, że to możliwe? Oczywiście przecież Ukraińcy wybili wtedy wszystkich, mścili się, bo wiedzieli, że są bezbronni. Dziś został po nich jedynie stara cerkiew i cmentarz, na którym nie ma kto strzępywać okruchów. Oczywiście próbowano im pomóc. Ale matka nie była w stanie. Przecież nie mieli ani strychu, ani stodoły, ani piwnicy. Poza tym groziła kara śmierci. Pan Zenon zbliża się powoli do swojego dawnego domu. Boi się podejść zbyt blisko, coś go hamuje. Do niego pójdzie na samym końcu. Mieszkają tam już zupełnie inni ludzie. Słyszał, że stoi, tak jak stał kilkadziesiąt lat temu, w 1933r. kiedy się w nim urodził. Pamięta go bardzo dobrze. Znowu wraca do wspomnień. widzi elektrownię, jednopiętrowy, ładny budynek. Mieszkali na piętrze. Na dole mieściła się elektrownia, w której pracował ojciec. Produkowała prąd dla całej miejscowości. Dom nie należał nigdy do nich, gdyż był własnością państwa. Do Zenka za to należał w całości ogródek, który stworzył własnymi rękoma. Uprawiał w nim marchew, ziemniaki (które rosły na kamieniu, jak to możliwe?), jęczmień, który sam ścinał. Obok ogródka hodował króliki i gęsi. Z domem rodzinnym wiąże tak wiele wspomnień. Przypomina sobie dzień, w którym wyszedł do ogródka wieczorem i zobaczył na niebie wielkie serce przebite strzałą. Tego typu znaki widziało więcej osób. Nieważne, czy ktoś teraz by mu uwierzył, znak będzie pamiętać do końca życia. Może to był znak przyszłych zmian? Końca etapu w jego życiu? Wtedy Zenon przypomina sobie czasy okupacji. Zastanawia się, który okupant był gorszy. Hm to trudne pytanie. Najpierw przeszli Niemcy, potem rodzinną ziemię zdeptali Rosjanie. Wraz z okupacją przyszedł prawdziwy głód. Wielu ludzi miało złoto, to ich ratowało. Mogli się udać na wieś do chłopów i wymienić je na żywność. Oni niestety go nie posiadali. Głód był bardzo dotkliwy. Widzi jeszcze tę trawę, którą musiał zbierać do jedzenia, bo nie było już nic innego. Matka gotowała zupę z kminku znalezionej na łące, patyczków, ziela i wody. Wtedy mógł wspominać kluski, kartofle i niedzielny rosół za czasów polskich. Wtedy wspominał wigilię, barszcz, uszka, rybę

i cukierki, wykradane ojcu z kieszeni, kiedy spał. Potem Niemcy wprowadzili kartki. Było trochę lepiej. Ludzie mogli liczyć na odrobinę margaryny i marmolady. Najtrudniej było postarać się o czarny chleb. Dobrze wie jak to jest stać kilka godzin w kolejce i nie dostać nawet kromki. Czasem i chleb jednak był. Widzi w pamięci jak ukrywał swój niewielki przydział przed bratem i siostrą, żeby mu nie ukradli. Pamięta bezradny gest matki, kiedy był głodny i pytał o coś do jedzenia. Matka. Jaka była? Pokorna i taka religijna. Wspomina ją bardzo mile. Była częścią jego dzieciństwa. Zawsze czuwała nad nim, przestrzegała przed złym towarzystwem. Wyznawała zasadę „swoją kredens, swoją szafka” co miało oznaczać, „zajmuj się tylko sobą, nie wtrącaj się do innych, nie patrz czy komuś lepiej czy gorzej, troszcz się o własne dobro”. Uderzające podobieństwo słów niewykształconej kobiety do Woltera i jego hasła o uprawianiu własnego ogródka. Uśmiecha się na myśl o tym, jak matka powiedziała mu, że w dniu jego urodzin powiesiła na choince małego aniołka. Ma go do dzisiaj. To jedna z nielicznych pamiątek. Aniołek jest w wieku Zenona.. Ojciec. I tu wspomnienia jakby się oziębiły troszeczkę. Ojciec. Dla niego od rodziny zawsze ważniejszy był alkohol. Ale czy musiała przez to cierpieć rodzina? Żona, która nie miała przez to pieniędzy na wyżywienie dzieci? Która musiała brać chleb na kredyt w pobliskim sklepie. Ojciec – kojarzy się jedynie z głodem. To dlatego Zenon musiał paść krowy sąsiada. Przynajmniej wtedy dostawał mleko dla całej rodziny. Jak szybko przeszukuje swoją walizkę wspomnień. Teraz biegną one w kierunku bolesnym. Tą drogą wychodził w dniu przesiedlenia z domu. Był początek lat 50. Nastąpiło wtedy równanie granic, podręcznikowa nazwa, oznaczająca rozpacz wielu ludzi. Czy naprawdę musiało do tego dojść? Przecież Ustrzyki dostały się znów pod panowanie polskie, po okupacji niemieckiej, radzieckiej wreszcie była szansa na normalność. Przesiedlano całe wioski. Nie pytano o obywatelstwo, przywiązanie, korzenie. Liczył się tylko pretekst: pozbycie się banderowców (UPA). Ukraińców wywieziono nad morze. Co czuł, kiedy opuszczał rodzinne strony z jedną walizką w rękę? Nie buntował się. Wiedział, że musi tak być. Przeciw takiej sile nie miał przecież żadnych szans. Nie protestował właściwie nikt. Toteż nikt nie został. Wyjechał z miasteczka jako ostatni. Kazano jechać im na wschód, pojechali do niedalekiej Sądowej Wiszni. Była jesień taka jak ta. Nie miał nawet czasu pomyśleć co dalej, już dostał pobór do wojska rosyjskiego. Dosłużył cztery lata, potem go puścili. Jak wytrzymał cztery lata poza domem? Nie pamięta jak, pamięta tylko, że tęsknił. Rodzice w tym czasie wyjechali podczas repatriacji z Sądowej Wiszni do Bogatyni. On dołączył do nich po dwóch latach. Na szczęście miał zaproszenie. Przystanął na moment pod drzewem. To tu spotykał się z jedną dziewczyną. Miała na imię Sonia, była z Dobromila bodajże. Pisali do siebie listy. Może ma jeszcze jakiś

od niej. Chodzili razem na tańce. Ale musiał z tym skończyć. Dowiedział się od innej koleżanki, że Sonia umawia się na tańce z kimś jeszcze. Tego było już za wiele. Kiedyś szedł sobie do sklepu i spotkał wróżkę. Ona wywróżyła mu dzieci i żonę, której imię będzie rozpoczynało się na literę K. Puścił mimo uszu tę wróżbę, dopóki nie spotkał w Sądowej Wiszni panny Kazimiery. Postanowił się ożenić. Wróżba się spełniła. Kobieta na K jest z nim do dzisiaj. Przechodząc ulicami Ustrzyk może z dokładnością topograficzną odtworzyć układ ulic i budynków z czasów dzieciństwa. Tutaj była stacja kolejowa, a tam straż pożarna, tartaki i fabryka ropy. Tam zachodził często i wpatrywał się w proces wydobywania i destylacji ropy. Ropa potrzebna była w elektrowni. Wiedział to bo sam tam pracował. Znał się na przełącznikach, obserwował ojca. Mimo biedy i okupacji w dzieciństwie uważa się za szczęściarza. W końcu trzy razy cudem uniknął śmierci. Kiedy pierwszy raz był we Lwowie z sąsiadką, która jechała tam do lekarza z synem chorym na migdały, spotkali banderowców. Kiedy usłyszeli mowę polską, chcieli rozstrzelać Zenona. Dzięki sąsiadce uniknął tego losu, gdyż powiedziała ona, że co prawda matka jego jest Polką, ale za to ojcem jest Ukrainiec, więc nie mogą rozstrzelać swojego. Tym kłamstwem uratowała go wtedy. Nie umiał nigdy po ukraińsku, z kolegami ukraińskiego pochodzenia porozumiewał się po polsku, gdyż tak było łatwiej. Drugi raz kiedy biegali z kolegami po lesie, natknęli się na granat, Zenon wziął go i natychmiast wyrzucił za siebie, co jego i kolegów uchroniło przed śmiercią. Pamięta do dziś kłęby dymu granatu, który eksplodował kilka metrów za nimi. Poza tym pamięta doskonale jak prawie utopił się w jeziorze, kiedy się kąpał w nim pewnego lata. Wspomina, jak przed oczyma w tej traumatycznej chwili pojawili się rodzice i rodzeństwo. Było to podczas wizyty u wuja w Drohobyczu. Wuj, po utracie córki, która zginęła pod kołami pociągu nigdy już nie doszedł do siebie po tej tragedii.. Zawraca, tam dalej była szkoła. Nie lubił tam chodzić, sam nie wie czemu. Za Niemca poszedł do drugiej klasy, za Rosjan chodził do szkoły wieczorowej. Miał wtedy jeden zeszyt i oberwane portki. Pamięta tylko zapach akacji, które narwali z kolegami i wręczyli profesorowi na zakończenie roku. Szkołę średnią musiał skończyć już w Bogatyni. Ale zanim się tam znalazł, ileż to musiał się postarać, aby otrzymać obywatelstwo polskie. Miał tylko ukraińskie, mimo że czuł się Polakiem od zawsze. Przecież to mu wpajała matka. Nie chciał być nigdy Ukraińcem.

Wreszcie tu może przyjść. Stoi prawie przed rodzinnym domem. Rzeczywiście znajduje się w tym samym miejscu jak przed laty. „Człowiek jest w siódmym niebie, kiedy wraca”. Tak często odwiedzał to miejsce w pamięci. Teraz jest inaczej. Nie ma ludzi, już dawno wysiedlonych. Tyko nieliczni wrócili do domu po wysiedleniu. Czy kiedykolwiek chciał wrócić na stałe? Chyba nie. Jeśli człowiek nie ma kąta, który na niego czeka, powrót

jest bezsensowny. Żeby wrócić, trzeba mieć do czego wracać. Można wracać, żeby wspominać. „Człowiek jest jak ptak, zawsze wraca do swojego gniazda”. Każdy ma swoją małą ojczyznę, do której wraca, swoje małe ziarenko ziemi.

Pan Zenon pamięta, jak zasadził kiedyś jabłoń w swoim ogródku. Niestety nie doczekał jej pierwszych owoców z powodu przesiedlenia. Teraz widzi przed sobą rozłożyste drzewo. Czyżby to była ta jabłoń? Widzi piękne, dojrzałe owoce. Rozpoznaje jabłonkę, którą sadził własnymi oto rękami kilkadziesiąt lat temu. Nie może zdobyć się na podejszcie bliżej. Widzi światło z okna swojej kuchni. Odchodzi, ale jeszcze tu wróci, przecież obiecał to sobie. Jego marzeniem zawsze było zerwać kiedyś owoc z tego drzewa. Może kiedyś się odważy. Jednak tego nie jest pewien.

GWIAZDY PANI MARYNY D.

***„Mała ojczyzna to miejsce, które wiąże się z dzieciństwem, rodziną,
środowiskiem w jakim się wychowałam.”***

*Maryna D., lat 80, pochodzi z Leżajska, woj. podkarpackie, obecnie zamieszkała w Opolu, woj. opolskie, z
zawodu inżynier ceramik*

CZAR SZKOLNYCH LAT

Szkoła – doceniana po latach, wspominana z sentymentem, urastająca do rangi symbolu, który kumuluje skrawki mniej lub bardziej istotnych wspomnień. Czasem są to chwile szczególne, niezapomniane, a czasem jest to zwyczajny, niczym nie wyróżniający się dzień, którego z perspektywy lat nie da się nawet bliżej określić.

Maryna – uczennica leżajskiego gimnazjum jak co dzień idzie do szkoły. Wojna dopiero co przestała dręczyć mieszkańców Leżajska. Jak sama twierdzi, nie należy do szczególnie karnych uczennic. Nie uważa siebie za grzeczną dziewczynę. Doskonale zdaje sobie sprawę, że pozwala sobie w szkole na zbyt wiele. Być może dlatego, że nauczyciele gimnazjalni często bywają u niej w domu. W końcu jej ojciec należy do miejscowej tzw. śmietanki towarzyskiej i w jego domu gromadzi się elita intelektualna okolicy. Tym bardziej, że w mieście schroniła się cała grupa profesorów akademickich z uczelni lwowskich, przewspaniałych, jeśli chodzi o ich pozycję i wiedzę. Być może dlatego jest tak odważna i samodzielna w szkole, skoro zna nauczycieli, bawi się z ich dziećmi i bywa u nich w domu. Maryna wchodzi do przypominającego dworek szlachecki budynku z dużymi, białymi oknami. Czekają ją klasówki. Tej klasówki nie chce chyba żadna osoba stojąca przed klasą. Na szczęście jest parę osób, które nie zamierzają się poddać tak łatwo. Trzeba coś zrobić, żeby uniknąć sprawdzianu. Wśród braku sensownych propozycji Maryna wpada na pewien pomysł. Można by przecież pójść do apteki ojca i z siebie wiadomej półki wyciągnąć to i owo. Tak też robi. Wręcza chłopakom siarkę, oni nie słuchają jednak jej rady, aby wrzucić siarkę do pieca. Mają lepszy pomysł, podpalają ją pod ławką. Niestety, nikt nie przewidział, że trochę siarki narobi takiego smrodu i dymu w klasie. Co prawda cel osiągnięto – pisanie klasówki w

kłębach dymu stało się niemożliwe, jednak nauczyciel szybko domyśla się co zaszło. Nikt nie przewidział, że kłęby malowniczego dymu sączącego się z klasowych okien, będą ciekawym pokazem dla wizytacji, która niespodziewanie w tej samej chwili przybywała właśnie do szkoły. Awantura dotycząca wybryku zostaje więc pomnożona przez dwa. Tego dyrektor tej klasy nie mógł darować. Tego dnia wszyscy zostali wyrzuceni ze szkoły. Dyrektor zagroził, że rozwiąże klasę, jeśli winowajca nie przyzna się do winy do końca tygodnia. Maryna nie miała oporów się przyznać, za to chłopcy podpalający siarkę byli innego zdania. Od razu widać, że groźba ojcowskiego pasa wisiała w powietrzu. Pod koniec tygodnia udało jej się jednak przekonać ich, że weźmie winę na siebie. W końcu w klasie było wiele osób, którym zależało na szkole i nie powinni przez jeden incydent z niej wylecieć, niewinnie w dodatku. Poszła więc do dyrektora i on załamał ręce. Z jednej strony należało się jej porządne lanie, ale z drugiej głupio wyrzucić córkę znajomego, u którego się często bywa. Skończyło się na tym, że Maryna dostała zachowanie nieodpowiednie, dzięki temu, że się sama przyznała. Potem przyznali się jeszcze dwaj koledzy. Stwierdzili, że nic gorszego od Maryny nie może im się przytrafić. Ten incydent był pretekstem dla rodziców do zmiany szkoły. W czerwcu Maryna odbyła swoją ostatnią podróż do gimnazjum. Następnym etapem był Kraków, gimnazjum u sióstr Urszulanek. Maryna nie traktowała rozłąki z Leżajskiem jako czegoś ostatecznego, to była po prostu przerwa w życiorysie. Wiedziała, że prędzej czy później wróci. Tak, ten wyjazd wiele ją nauczył, dał jej wiele w sensie wychowawczym. Szkoła, internat, chodzenie parami z siostrami zakonnymi na spacerzy Plantami, mundurki z marynarskimi kołnierzami - to wszystko się skończyło po głosowaniu „trzy razy tak” .Siostrom zabrano szkołę i Maryna wróciła do domu. W kilka lat później zdała maturę. Postanowiła wyjechać na studia. Jej marzeniem od zawsze była farmacja – rodzinna tradycja. Jednak upaństwowienie apteki uniemożliwia i zniechęca do tego kierunku. Maryna decyduje się na AGH w Krakowie. Następuje moment, w którym opuszcza Leżajsk na stałe. O szkole w wierszu własnego autorstwa pisze tak:

*Stare gimnazjum umilkło,
cicho stoi na skarpie,
smutne i jakby wyblakło
zeschłe marzenia szarpie*

* Szkoła – miejsce, o którym wspomina część respondentów. Jest nieodłączną częścią małej ojczyzny. Z nią wiąże się wiele przeżyć, w końcu w niej młody człowiek spędza

najwięcej czasu. W szkole pani Maryny uczniowie z pewnością nie cierpieli na nudę. Zwłaszcza pani Maryna, która sama zaznacza, że do najgrzeczniejszych nie należała. Interesujące jest to, że znała kadrę lwowską i własnych nauczycieli gimnazjalnych. Mogła więc pozwolić sobie na więcej, nie wyrzucono jej ze szkoły, chociaż w innym wypadku pewnie by tak postąpiono. Dla odmiany poznała realia urszulańskiej szkoły, którą wspomina mile, gdyż szkoła ta umożliwiła jej wyjście z rozbuchanego dzieciństwa do pozycji dorosłej panny.

GWIAZDA OJCA

Matki dają naszemu duchowi ciepło a ojcowie – światło

/Jean Paul Sartre /

Pan Seweryn jest niezwykłą osobą w Leżajsku. Właściciel apteki „Pod Gwiazdą” i farmaceuta, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Należy do śmietanki towarzyskiej Leżajska, w tych czasach elitę intelektualną stanowią przedstawiciele wolnych zawodów, takich jak lekarze, aptekarze, adwokaci, duchowieństwo, nauczyciele. To oni nadają ton życiu towarzyskiemu. Ale pan Seweryn jest przede wszystkim oddanym mężem i wspianiałym ojcem. Kiedy dowiaduje się, że jego córki omal nie wyrzucono ze szkoły za podpalenie siarki, w dodatku z jego apteki, wie doskonale, że żadne lanie, ani najdziwniejsza kara nie pomogą. Zdaje sobie sprawę, że musi do niej dotrzeć świadomość własnej głupoty, aby potrafiła odróżnić dobre od złego. Oczywiście córka słyszy od ojca co o tym wszystkim sądzi, jednak na tym się nie kończy. Pan Seweryn ma lepszy pomysł niż jakikolwiek szlaban. Postanawia przenieść córkę do gimnazjum sióstr Urszulanek w Krakowie. Domyśla się, że córka ze względu na jego zażyłość z jej nauczycielami zachowuje się w szkole zbyt swobodnie, dlatego daje jej możliwość zmiany nastawienia. To okazuje się dobrym posunięciem wychowawczym.

Atmosfera w domu pana Seweryna ma w sobie wiele z rodzinnego ciepła. Trzeba wziąć pod uwagę, że mamy do czynienia z czasami, w których trzeba było obejść się bez radia, telewizji, czy elektryczności. Czas spędza się przy blasku świec, czasem przy lampie naftowej, oczywiście jeśli ma się naftę. Wtedy właśnie ojciec zbiera swoje dzieci wokół siebie i czyta im na głos „W pustyni i w puszczy”. Tak długie wieczory podczas wojny mijają na czytaniu książek, takich jak „Krzyżacy”, „Stara Baśń”, trylogia H. Sienkiewicza. Wszystko to czyta Seweryn swoim dzieciom podczas okupacji. Z biegiem lat czytanie na głos przejmują

córki, w tym Maryna, podczas gdy ojciec zostaje słuchaczem. Tak właśnie przeczytali wspólnie „Pana Tadeusza”. Takie wieczory są czymś bardzo cennym i ważnym dla Maryny. W takich momentach czuje, że to jest jej prawdziwy dom. Wieczory te jednak nie kończą się jedynie na czytaniu. Ojciec wciąga swoje dzieci w przeróżne zabawy. Lubili grać w przysłowia. Gra ma proste zasady. Jedna osoba wypowiadała jakieś przysłowie, następna natomiast ma na nie odpowiedzieć, lub pociągnąć temat innym, podobnym przysłowiem, np. „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz” i odpowiedź „Jakie piwo nawarzysz, takie wypijesz”. W ten sposób ojciec ćwiczy pamięć u swoich dzieci. Kiedy wszyscy są już starsi, ojciec utrudnia zabawę, wypowiadając przysłowia po łacinie, którą zna świetnie, przecież jest farmaceutą. To już idzie o wiele trudniej.

Niedaleko Leżajska znajdują się dwa wąwozy: doły niemieckie i doły fińskie. Są świetnym miejscem do odbywania rodzinnych spacerów. Są również okazją do opowiadania przez ojca rzeczy, których nie uczy się w szkole, nauki historii, anegdot i opowieści rodzinnych. Na jednym z takich spacerów opowiada Marynie historię o tym, jak pies uratował dom od pożaru. Działo się to w domu jego ojca. Pożary w tym czasie były częste. Rodzice mieli foksteriera, małą, niedużą psinę, ze szczotkowanym ogonem i nieco kwadratową mordką, ale bardzo sympatyczną. I ten właśnie pies uratował dom przed pożarem. Pies spał właśnie na blaszce przy piecu kaflowym. Piec był stary i szczerbaty. Rozgrzał się do tego stopnia, że gałązki i drewno ułożone przy nim zaczęły się tlić. Na ile się tliła, a na ile paliło, tego nie wie nikt, oprócz psa, który spał przy zamkniętych drzwiach. Zaczął wygarniać tłące się żagwie i gasić je na blaszce własnymi łapami. Dym rozszedł się na cały dom, kiedy rano wstała babcia, jak zawsze o piątej. Poczula dym i wpadła w przerażenie. Znalazła tego biednego psa z poparzonymi do kości łapami, skamlącego cicho w kątku. Nikt inny nie wstał, nikogo nie było, tylko pies w zamkniętym pokoju. Chorował kilka tygodni, dziadek go leczył, wszyscy chodzili koło niego, jak koło jakieś ważnej osoby. Został bohaterem. Takich historii ojciec opowiada wiele. Jest przecież znakomitym gawędziarzem, o dużym poczuciu humoru. Brał także udział w teatrze amatorskim, gdzie reżyserował i grał jednocześnie.

* Postać ojca zajmuje sporo miejsca w relacji pani Maryny. Jest jakby gwiazdą w jej opowieści, autorytetem nie do podważenia. Tej postaci nie można było pominąć, mówiąc o obrazie małej ojczyzny pani Maryny, którego ojciec jest nieodłączną częścią. Ten przykład dowodzi twierdzeniu, iż obraz małej ojczyzny to nie tylko miejsce, ale także, a może przede wszystkim ludzie, którzy kształtują osobowość. Pani Marynie bardzo wiele przysłów kręci się do dziś po głowie.

APTEKA CIASNA – ALE WŁASNA

Często miejsce pracy rodziców staje się częścią świata ich dzieci. Zwłaszcza, kiedy zakład pracy, sklep, restauracja jest własnością rodzinną, kojarzy się więc z czymś własnym, jest niemal częścią rodziny i kolejnym skrawkiem domu.

Apteka w rodzinie Maryny urasta do rangi symbolu, gdyż tradycje farmaceutyczne są w niej obecne od pokoleń. Ojciec podobnie jak jego ojciec i dziadek skończyli farmację. Apteką rodzinną stała się apteka rodowa dziadków Maryny w Sokołowie. Ojciec kupił swoją w Leżajsku przed wojną, za pieniądze pożyczone od brata, który pracował w ministerstwie naftowym. Apteka „Pod gwiazdą” staje się prawdziwym centrum farmaceutycznym podczas wojny i jedynym punktem medycznym w obrębie 50km. Maryna dorasta w otoczeniu apteki, spędza w niej całe swoje dzieciństwo. Ojciec staje się ikoną apteki. W czasie okupacji spełnia role niemal lekarskie, gdyż ludzie przychodzą do niego z przeróżnymi dolegliwościami. Ojciec Maryny był nie tylko farmaceutą, samodzielnie sporządzał leki, komponował różne zestawy, opracowywał własne recepty, znany z własnych, oryginalnych metod leczenia. Maryna często widziała podczas wojny ojca, który biorąc walizki jechał do Krakowa po podstawowe medykamenty, których nie może sporządzić samodzielnie np. aspiryna. Maryna zdaje sobie sprawę ile wysiłku, ile zaangażowania i działania wymagała ta praca, która była w jakimś sensie powołaniem. Ojciec przez to zdobywa szacunek i podziw ludzi w Leżajsku. Zawsze między 13 i 15 ojciec robił sobie przerwę w pracy na obiad. Któregoś dnia żona pana Seweryna daremnie czeka na niego z obiadem. Postanawia pójść do apteki i sprawdzić co się dzieje. Zastaje drzwi zamknięte od wewnątrz. Jeden mężczyzna w skórzanym płaszczu wyglądający na tajniaka uchyla tylko okienko do wydawania leków nocnych i powiadamia, że przerwy nie będzie i że nastąpiło upaństwowienie. Od tej pory wszystko się zmienia. Ojciec prawnie przestał być właścicielem apteki. Upaństwowiono ją i wyrzucono go, z absolutnym zabranie mienia, wszystkich leków, całego umeblowania. Zabrali mu wszystko, od najmniejszego słoiczka do móździerzyka. Sprzątaczkę zatrudnioną w aptecę uczyniono kierownikiem, gdyż jako jedyna reprezentowała proletariat wśród pracowników apteki. Ojciec na początku mógł być pomywaczem. Zakończył się wtedy pewien etap w życiu rodzinnym. Aptekę w Sokołowie także zabrano siostrze Seweryna. Apteka „Pod Gwiazdą” - symbol i centrum rodziny tak jakby przestała istnieć. Ojciec bardzo to przeżył. Przecież nie spłacił jeszcze długu zaciągniętego u brata. Odkąd władza zmieszała go z błotem, podupał

na zdrowiu, był psychicznie zdruzgotany, że władza tak go potraktowała i upokorzyła sprowadzeniem do najniższego stanowiska, dając mu miotłę do ręki i odbierając ją sprzątacze. Nagle sytuacja finansowa zmieniła się na gorsze. Mama Maryny musiała iść do pracy, była nauczycielką i wróciła do nauczania. Sytuacja co prawda się zmieniła, ale żyło im się od tej pory tak jakoś bardzo ciasno. Maryna od dziecka chciała iść na farmację. Marzenie podtrzymania tradycji rodzinnej jednak się nie ziściło. Maryna nie miała już czego dziedziczyć, poza tym zniechęcił ją system, który ich zastał po wojnie.

*Miejsce apteki w rodzinie pani Maryny zaciekało nas. Fascynujące były tradycje farmaceutyczne, przekazywanie fachu z pokolenia na pokolenie. Apteka stała się nieodłącznym częścią życia rodzinnego, kolejnym obszarem małej ojczyzny. Szkoda, że system odebrał im tradycję i pasję, podciął skrzydła w samorealizacji.

LEŻAJSK A SOKOŁÓW

Żywot leżajski rozpoczął się kiedy ojciec kupił aptekę. Leżajsk traktuje jako miejsce zamieszkania jej najściślejszej rodziny, tam także znajdują się rodzinne groby. Tam zastała ich wojna i pokrzyżowała jakiekolwiek plany związane z kupieniem domu i z zakorzenieniem się w tym mieście. W Leżajsku co prawda własnego domu nie mieli, wynajmowali mieszkanie, ponieważ całe oszczędności poszły w końcu na kupno apteki. Mieli zamiar kupić dom, w którym znajdowała się apteka, ale PRL nie był gotów, aby im na to pozwolić. Cała rodzina pochodziła z tego samego rejonu i żyła blisko siebie. Sokołów jest 20km w jedną stronę, Dębica ok. 40km w drugą. Prawdziwie rodzinny dom był u dziadków w Sokołowie, od dziada pradiada, apteka rodowa znajdowała się właśnie tam. Dom był wspaniały, murowany, stary, ciężki, przysadzisty, o bardzo grubych ścianach. Od frontu była apteka, od tyłu podwórko, a na nim taki mały letni domeczek, drewniany, gdzie mieli ubaw z prysznicem, czyli innymi słowy polewaczką powieszoną na sznurku, który trzeba było pociągnąć, żeby się opłukać z mydła. Poniżej znajdowała się skarpa, gdzie mieścił się ogródek i rosły piękne drzewa. Co prawda Maryna nie uważała go nigdy za swój dom, to zawsze był dom dziadków. Potrafili z rodzicami w sobotę zdjąć buty, wypożyczyć od sąsiadów konika z drabiniastym wozem i jechać do dziadków na niedzielny obiad. Często wracali pieszo z Sokołowa do Leżajska. Więzy rodzinne trwały niezależnie od wydarzeń. Leżajsk i okolice to był jej dom.

Krainie zacnej urody

*San granice wyznaczał,
w wiklinowych brzegach wody
łachy piachu przetaczał
Nieco dalej wartkiej rzeki
wśród piachów na kamieniu
gmina piękniejąc przez wieki
wyrosta na wzniesieniu*

Tak pani Maryna wspomina swój Leżajsk. Ma nadal obrazy przed sobą, zwłaszcza domu w Sokołowie, widzi to oczami przed sobą. Do dzisiaj do niego wraca. Do siostry, która ma własny domek. Kiedy była młodsza brała wnuki pod pachę i jechała na wakacje do siostry. Kiedy w Opolu w 1997r. była powódź, była właśnie w Leżajsku. Nadal utrzymuje kontakty ze znajomymi, zaprosili ją na jubileusz matury. Wspomnienia o Leżajsku niech zobrazują kolejne strofy wiersza jej autorstwa:

*Moje miasteczko w pamięci
pachnie wciąż opłotkami,
dawnych lat urokiem nęci,
słodkimi malinami...
Czasem myśl odwiedza rynek
przy ratuszowej wieży,
albo gna pod stary budynek
gdzie nie ma już młodzieży.
Więc drogą w dół do kapliczki
idę w prawo Sanową
a w lewo w wspomnień uliczki
aleją Kasztanową*

*Wiosną zawilskim pachniały
bzy w ogródku przed domkiem,
a na Kasztanowej szemrały
liście ogrzane słońcem.
Tam, gdzie stary Dom Ludowy
przerobiony na kino
chłopak szeptał w dzień zimowy*

*swoje kocham dziewczyno
Minęło ponad pół wieku,
czas jak woda z potoka
Nie wraca młody człowieku
umyka hen – a szkoda!
Spacery pod kasztanami
staruszkom dziś też miłe
małymi drepczą kroczkami
zbyt chude, lub otyłe.
Zżęto łany złotych kłosów
bloki stoją kamienne,
umilkł śpiew ptaszęcych głosów
toczy się życie codzienne.
Moje miasteczko młodości
dumnie rozbudowane
urościło w miasto przyszłości
z dniem każdym mniej mi znane...*

* Pani Maryna zajmuje się poezją od dawna. Pisze zazwyczaj do szuflady. Wiersz który tutaj prezentujemy idealnie wpisuje się w tematykę naszej pracy. Tak, jakby pani Maryna przewidziała czego będzie ona dotyczyć, zwłaszcza, że napisała ten wiersz trzy lata temu. Tego typu twórczość kojarzy nam się z utworami wielu artystów pochodzących z kresów, np. Adam Mickiewicz, Czesław Miłosz i wielu innych. Czasem tylko poetyckie słowa ułożone w strofy są w stanie oddać uczucia jakie towarzyszą powrotom do małych ojczyzn.

ROZSTANIA I POWROTY PANA HENRYKA PIECHOTY

„Mała ojczyzna to miejsce, w którym się urodziłem, gdzie mieszkali moi rodzice, dziadkowie, rodzina. Moja mała ojczyzna to Śląsk.”

Henryk Piechota, lat 77, pochodzi z Kokotka, woj. śląskie, obecnie zamieszkały w Krupskim Młynie, woj. śląskie, z zawodu technik chemik

Siedząc w ogrodzie, Henryk wspomina dawne dzieje. Jakie to dziwne, że po latach przeprowadzek znów wrócił w rodzinne strony. Krupski Młyn znajduje się zaledwie osiem kilometrów od Kokotka, w którym się urodził i wychował. Pamięta restaurację, którą prowadziła babcia. Do dzisiaj potrafiłby dokładnie opisać jej wygląd i rozmieszczenie. Była duża, z ogromnymi, wiszącymi żyrandolami. Na ścianie wisiały gliniane, błyszczące talerze.

Dokoła rozmieszczone były stoliki, okrągłe, z zielonymi obrusami i wysokimi, dębowymi krzesłami. Obok dużej sali był pokój gościnny, w którym stała ogromna kanapa i stół. Wszystko tam wydawało się ogromne. Henryk nie pamięta już czy rzeczywiście wszystko takie było, czy wydawało się takie wielkie jedynie z perspektywy dziecka, którym wtedy był. W bufecie babcia sprzedawała piwo, lemoniadę, cukierki, alkohole różnego gatunku. Takiej lemoniady jak wtedy już nigdy potem nie pił. Kiedy nie było na sali gości, on i brat Kazio potrafili godzinami gonić się między stolikami. Dziwni ludzie przychodzili czasem do restauracji, gośćmi byli przeważnie mężczyźni. Czasem przyjeżdżały rozkrzyczane wycieczki z miasta, zimą uczestnicy kuligów, którzy chcieli się ogrzać przy grzonym winie. Niekiedy pamięć płata figle, niektórych twarzy nie można sobie przypomnieć, są jakby za mgłą. Nigdy jednak nie zapomni twarzy babci, krzątającej się wokół swoich gości i płatków śniegu obserwowanych za szybą podczas mroźnej, śnieżnej zimy. W Kokotku oprócz babci mieszkał z mamą, bratem i ojcem, który był celnikiem na granicy. Tak dobrze wspomina te czasy; pasące się na łące krowy, kąpiele w pobliskim stawie, śpiew ptaków, zapach lasu. Wtedy życie było takie bez troski, a przynajmniej takie się wtedy wydawało. Życie nieodłącznie wiązało się wtedy z przyrodą. Takie naturalne zdawało się obcowanie z naturą, jakby była częścią tamtejszego życia. Dlatego taka ważna dla niego jako dziecka była rzeka Leśnica, w której kąpali się z kolegami, dlatego tak pamięta tamtejsze lasy, które były świadkami tylu zabaw. Dlatego tak kochał pobliski staw za domem, gdzie łowili ryby. Wiele wspomnień szczególnie zapada w pamięć, np. zapach świeżo upieczonego chleba i smak kołacza. Zapach ciasta, zwłaszcza tego świątecznego. O tak święta były wtedy bardzo ważne, zawsze uroczyście obchodzone, bo tak bardzo oczekiwane. Oczekiwanie na karpia pieczonego, lub w galarecie, makówki, kompot, z suszonych owoców. Na Wielkanoc obowiązkowym świętem był dyngus. Lano wtedy dziewczyny – sąsiadki i koleżanki ze szkoły wodą i bito takim specjalnym batem, który nazywał się karbacz. Henryk patrzy na niebo, nieco zachmurzone, przypomina trochę te chmury, które obserwował na górze, kiedy mieszkał na Zaolziu. Wyjechali tam i mieszkali do 1945r., do momentu wyzwolenia. Przenieśli się na Zaolzie, ponieważ myśleli, że ojciec jako celnik dostanie tam przeniesienie, niestety tak się nie stało. Ojca przeniesiono przecież do granicy łotewskiej. Jednak mama na Zaolziu mogła więcej zarobić, dlatego zdecydowali się tam przenieść. Właśnie tam mama otworzyła własną restaurację. To miała być taka namiastka tej w Kokotku, w jakimś stopniu kontynuowanie tradycji zapoczątkowanej przez babcię. W restauracji mamy można było się poczuć prawie jak w domu. Restauracja była jednak nieco inna. O wiele większa powierzchnia, dwie sale. W jednej bilard, w drugiej bufet. Za to można było tam kupić niemal to samo, co u babci.

Obrusy także były zielone. Otwarta zawsze od południa, kiedy górnicy wracali z szychty i zamykana zawsze o 22. Henryk pamięta jak często pomagał mamie w obsłudze klientów. Mama była dzielną kobietą, zawsze ją za to podziwiał. Zwracał się do niej zawsze mamusiu. Na początku na Zaolziu było im ciężko, ojca prawie nie widywał, przyjeżdżał tylko czasami, ze względu na pracę, która była bardzo daleko. Mamie odebrano restaurację podczas okupacji, ojciec trafił do niewoli sowieckiej. Mama musiała zarabiać na życie szyciem. Potem przyjęła się do pracy na kolei i zaczęła handlować. Przy okazji przewoziła pociągami do Krakowa sacharynę, tam mieszkał wujek, który ją rozprowadzał. Z Krakowa przywoziła wódkę, kielbasę, tytoń i dopiero wtedy nastały dobre czasy. Mimo że powodziło im się już lepiej, mimo przemyłych sąsiadów, zawsze pozostawał jakiś żal za rodzinnym Kokotkiem. W takich chwilach przypominał sobie jak jeździł na łyżwach po stawie, jak grał w piłkę nożną w Kokotku. Zmiana miejsca zamieszkania nie zmieniła zwyczajów panujących w domu. Jak zawsze w niedziele obowiązkiem było pójście na mszę, mimo że kościół był oddalony o cztery kilometry od ich domu. Co prawda mieszkali tam kilka lat, ale po jakimś czasie przeprowadzili się do Krapkowic, niedaleko Opola. Henryk miał wtedy 17 lat. Stamtąd dojeżdżał do Technikum Chemicznego w Opolu. Kiedy je skończył, otrzymał nakaz pracy, właśnie w Krupskim Młynie, coś za dziwny zbieg okoliczności. Po latach znalazł się w rodzinnej okolicy. W każdej chwili, po pracy mógł, nawet pieszo pójść do Kokotka i popatrzeć na stare kąty. Stamtąd można było wspominać za to lata czechosłowackie. Mimo że wtedy nie czuł się jak w domu, to w końcu spędził tam parę lat. Przypomina sobie kościół, który stał na górze, natomiast drugi, protestancki był na dole. Niedaleko była szkoła podstawowa, a zaraz przy niej znajdowała się kopalnia węgla. Naprzeciw szkoły stał sklep, do którego często zaglądali. Wioska była bardzo duża, długa na pięć kilometrów i na cztery szeroka. Znajdowały się w niej cztery kopalnie, mieszkańców było dużo, domy były rozproszone na górzystych terenach, okolica była bardzo ładna. Pamięta wszystkie mecze hokeja, który był na tamtych terenach bardzo popularny. Bardzo często wraca myślami do swojego miejsca urodzenia, do Zaolzia, nawet Krapkowic. Zamieszkali w Krapkowicach po wojnie, gdy ojciec wrócił z Anglii, z niewoli. Dostał pracę w Krapkowicach, więc tam się przenieśli. Tam mieszkał z rodzicami, bratem i babcią. Ojciec pracował wtedy w fabryce celulozy, a mama dorabiała szyciem. Miłe wspomnienia z tych miejsc Henryk uzasadnia tym, że wtedy był młody, a młodość wiele usprawiedliwia, widzi wszystko w lepszych barwach, widzi lepsze jutro, nigdzie się nie śpieszy oraz dlatego, że wszędzie spotykał życzliwych ludzi. Opuszczał z żalem wszystkie miejsca zamieszkania. Miał przecież wielu kolegów, których musiał zostawić, a z którymi przecież był bardzo zżyty. Trudno było wyjechać.

Henryk cieszy się, że po tylu latach tułaczki, oddalenia od miejsca urodzenia, może wrócić w rodzinne strony. Poczuł się wtedy jak w prawdziwym domu, wrócił do miejsc dzieciństwa. Ogólnie małą ojczyzną jest ziemia lubliniecka. Za małą ojczyznę nie uważa Zaolzia i Krapkowic, gdyż mieszkał tam tylko kilka lat. Tym samym między słowami podaje definicję małej ojczyzny. Jest to miejsce urodzenia (Kokotek) i w którym trzeba przeżyć kawał swojego życia, bo tylko wtedy masa wspomnień, zebrana w ciągu wielu lat przywiązuje do danego miejsca.

* Opisaliśmy parę relacji o utraconych ojczyznach. Do tej pory były to ojczyzny opuszczone na zawsze, do których nasi rozmówcy nie powrócili już nigdy na stałe. Tak zazwyczaj bywa. Pan Henryk jest przykładem nie potwierdzającym tego zjawiska. Swą małą ojczyznę opuścił, ale po latach do niej wrócił i pozostał. Wyjazd nauczył go doceniać swoje rodzinne strony. Przytacza nam w swojej opowieści stary aforyzm: „Życie jest jak okręt na burzliwym oceanie, wie z którego portu płynie, lecz nie wie gdzie stanie”. Pan Henryk zdaje sobie sprawę, że życie przechodzi przez wiele sztormów, ale jego port pozostaje ten sam.

MAŁA OJCZYZNA PANA ROMANA KŚCIUKA – ZAWSZE TA SAMA, A JEDNAK INNA

„Ogólnie małą ojczyzną jest dla mnie Śląsk. Małą ojczyzną w ścisłym znaczeniu od zawsze było Zawadzkie. Jestem tutejszym autochtonem i patriotą lokalnym. Czuję się bardziej Ślązakiem, niż Polakiem.”

Roman Kściuk, lat 78, urodził się i mieszka w Zawadzkim, woj. opolskie, z zawodu hutnik, pasjonat lokalnej historii

ZAWADZKIE WCZORAJ, ZAWADZKIE DZIŚ

Pan Roman do dzisiaj przechowuje obraz Zawadzkiego sprzed lat. Zawadzkie to była kiedyś mała osada, ok. 4 tysiące mieszkańców. Osia była ulica Opolska, miała ona ok. 5m szerokości. Droga była brukowana kostką, która znajduje się tam do dzisiaj jako podkład, przykryta warstwą asfaltu. Po bokach były dwa rowy odwadniające i po obu stronach rosły wielkie, rozłożyste drzewa. Dominował klon, buk, jarzębina, jesion i dąb. Drzewa służyły do wytyczania drogi, aby była dobrze widoczna nocą lub podczas zamieci. Przy głównej drodze domy budowali bogaci, a biedniejsi osiedlali się raczej na obrzeżach. Wtedy budowanie przy głównej ulicy było jakiegoś rodzaju wyróżnieniem, ze względu na dobrą komunikację. Poza tym nie było hałasu, bo jeździły tylko furmanki, więc było to dobrodziejstwo. Teraz mieszkanie przy szosie jest przekleństwem ze względu na hałas. Wtedy liczył się status obywatelski. Mieszkanie przy szosie oznaczało lepszą kategorię ludzi. Przyjęło się, że bogaci mieszkali przy głównej drodze. Przy ulicy Opolskiej powstały domy kupców i domy kadry urzędniczej. Wybudowano tam dziewięć identycznych domów, nazwanych „dziewięć chałp”. Zostały one wybudowane podczas rozwoju huty (1916 – 1922), mieszkał w nich wyższy i średni personel techniczny. Po drugiej stronie mieściły domy kupców. Tam, idąc dalej była restauracja „Bombelka”, w miejscu, gdzie obecnie mieści się lokal „Kaskada”. Nieopodal mieściła się apteka, następnie tam gdzie teraz jest bank spółdzielczy mieszkał weterynarz. Kilka metrów dalej stał dom Ludwika, bardzo przedsiębiorczego kupca. Roman wspomina do dzisiaj Ludwika, jak jeździł po domach rowerem z takim bagażnikiem z przodu i sprzedawał różne rzeczy, jak to się mówi mydło i powidło, czyli agrałki, guziki, itp. Później sprzedawał garnki, które zamawiały u niego gospodynie, a pod koniec to nawet zegary sprzedawał. Później miał taki mały kiosk, aż wybudował ten wielki dom, co stoi do dzisiaj. Tak, niektórzy potrafili się dorobić. Zupełnie jak kuzyn Romana, który sprzedając sobie mleko od gospodarzy tak sobie dorobił, że także wybudował sobie dom. Teraz w tym domu mieści się księgarnia. Idąc dalej Opolską zaszłoby się do stacji benzynowej. Stały tam dwa zbiorniki i z nich pompowano paliwo. Hm, mało kto wie, ale te zbiorniki znajdują się tam do dzisiaj pod

ziemią, został tam później wybudowany budynek, w którym dzisiaj znajdują się sklepy. Niedaleko był taki mały domek, w którym taka jedna pani prowadziła zakład pogrzebowy. Następnie, tam gdzie teraz jest sklep motoryzacyjny mieszkał taki jeden kominiarz, może na szczęście. Te budynki były jednak już młodsze. Najstarszymi domami w Zawadzkiem były domy Filipów. W koloni czyli domach wzdłuż Opolskiej ku wiosce Żędowice mieszkali rolnicy czyli zaplecze żywnościowe dla pracowników huty. Wielu z nich mieszka tam nadal. W miejscu, gdzie mieści się obecnie targowisko została wybudowana tzw. Palestyna, czyli domy robotników. Zawadzkie to zawsze była jedna, długa ulica, na której później zaczęli się dobudowywać kolonizatorzy, czyli gospodarze w stronę Żędowic. W Zawadzkiem wytworzyła się specyficzna klasa ludzi, tzw. chłoporobotników. Byli oni pracownikami miejscowej huty, ale jednocześnie każdy miał odrobinę pola, które uprawiał. Takim chłoporobotnikiem był także ojciec Romana. Ludzi ci osiedlali się na obrzeżach, kupcy wraz z tzw. inteligencją mieszkali przy drodze. Huta od dawna była nieodłączną częścią Zawadzkiego. Dla Romana Zawadzkie to była huta, a huta to było Zawadzkie. Większość mieszkańców była zatrudniona w hucie, niewiele osób pracowało gdzie indziej. Dyrektor produkcji w hucie mieszkał przy ulicy ks. Wajdy. Roman wspomina okazały budynek z niskim płotkiem i kutymi balustradami, oraz mały ogród zoologiczny, ogrodzony wysokim płotem, w którym hodował sarny, króliki, bażanty. Każdy mógł wejść i oglądać zwierzęta. Zawadzkie było kiedyś jak taka puderniczka: naprawdę piękne i zadbane. Nawet rowy wzdłuż ulicy były idealnie wykoszone, wszystko było zadbane, porządek i czystość na każdym kroku.

Dzisiaj jest inaczej. Zmieniło się wiele. Ulica Opolska z wąskiej brukowanej drogi stała się szeroką, asfaltową szosą. Zniknęły bezpowrotnie pola uprawne, zamieniły się w park miejski. Roman zresztą miał w tym udział. Pamięta, jak w dziesiątej klasie sadził brzozy w parku. Skrzyżowanie ulic ks. Wajdy i Opolskiej – niegdyś centrum miasta, z małą wysepką na środku, teraz jedno z kilku skrzyżowań. Ulica ks. Wajdy – niegdyś jedna z centralnych ulic Zawadzkiego, dziś nieco zapomniana tak, że wielu mieszkańców z ledwością wskazuje jej położenie. Powstały nowe osiedla i szkoły. Na miejscu willi lekarza Riemanna stoi teraz biurowiec, nie ma już słynnej karczmy na Kociej Górcie, mały rynek przy ulicy ks. Wajdy znikł nie tylko fizycznie, ale u wielu także w pamięci, a wraz z nim młyn i dom towarowy. Zniknęły nie tylko sklepy i restauracje, ale całe osiedla. Nie ma już dziś śladu po dzielnicy Klachocz i po Palestynie. Na miejscu Klachocza wybudowali nową hutę. Palestyna straciła swoją funkcję mieszkaniową. Znikł most na Małej Panwi, który wysadzili. Znikł uroczy strumyk Koronczok, który zasypali. Nawet staw jest dzisiaj znacznie mniejszy, bo go zasypano na boisko szkolne. Te wszystkie miejsca żyją natomiast w pamięci Romana

nieustannie. Woli Zawadzkie sprzed lat. Było co prawda trudniejsze, ale za to piękniejsze i estetyczniejsze. Teraz pozostaje niewzruszone jedynie na widokówkach.

ZE SKARBKA MIEJSCOWYCH OPOWIEŚCI

Roman wychował się na miejscowych opowieściach, przekazywanych przez sąsiadów i dziadka. W Zawadzkim bardzo popularne były różne miejscowe legendy, zwłaszcza te, o „Janosikach” z pobliskiego lasu:

Było ich trzech, nazywano ich Pistulka, Eliasz i Szydło. Hersztem owej bandy zbójckiej był rzekomo Eliasz. Chodziła za nim taka piosnka : „Siedzi Eliasz łańcuchem związany, dali mu chleba jak dambowy listek, jeszcze się pytali, czy go zje wszystek”. Idąc za przykładem prawdziwego Janosika, banda owa, chcąc pomóc biedaczkom, bogatszym, co niektórym, ich bogactwa odbierała. Gdy zaś kogo biedniejszego spotkała, po kryjomu złoto i bogactwa skradzione wręczała. Razu pewnego idzie baba z chłopem i tak rzecze: „Tyś je głupi boś do szkoły nie chciał, inni chodzili i się dorobili. A my będę klepać będziemy do końca życia.” Na to dziad odpowiada: „To ja też pójdę”. Kiedy zaś do szkoły zaszedł, nauczycielka mu powiada: „No dziadku, to już jest za późno.” Dziad więc o poranku następnego dnia wcześniej do szkoły chciał zawitać. Idzie, idzie jeszcze ciemno na dworze. Idąc, nic nie widząc, zahacza o skrzynię jakąś. Do domu ją bierze i z żoną ogląda. Skrzynia, jak się okazało pełna jest dukatów z najszlachetniejszego złota. Okazuje się, że skrzynia owa jest łupem bandy eliaszowej. Skradziona została na poczcie, z której klucz zabrali, nowy w mydle odbili, dukaty porwali i biednym oddali. Teraz dziadek jest bogaty. Żona jego jednak chytra, chce korcem sprawdzić ile złota mają. Idzie więc do sąsiadki i korzec pożyczka. A że sąsiadka coś podejrzewa, gdyż ci przecież nigdy czego mierzyć nie mieli, smaruje korzec miodem. Gdy kobieta przynosi korzec do zwrotu, sąsiadka dukat przyklejony zauważa i po policję dzwoni. Policja więc pyta dziada: „Wyście podobno złoto znaleźli”, „A no znalazłem”- odparł dziadek, bo wtedy ludzie nie potrafili kłamać. Policjant spytał kiedy, a dziadek odparł, że wtedy jak do szkoły chodził. Gdy policjant to usłyszał, stwierdził: „To musiało być już bardzo dawno temu.” I umorzył sprawę. Tak dziad biedny od bandy Eliasza złoto dostał w posiadanie.

Inna opowieść jest taka:

Szydło mieszkał w Tworogu a reszta bandy gdzieś w lasach lublinieckich. Razu pewnego jedna baba szła z Tworoga na targ do Lublińca, bo córka za mąż wychodziła. Musiała jej kupić wyprawę. Idąc tak spotyka mężczyznę o chleb proszącego. Choć sama

biedna, dzieli się z nim. Mężczyzna spytał się gdzie idzie, kobieta odpowiada, że na targ, bo wydaje córkę za męża. Wtedy mężczyzna gwizdnął i przyszedł następny, zawiązali kobiecie oczy i zaprowadzili ją do lasu. Tam odwiązali jej oczy i jeden do drugiego tak rzecze: „Szydło, namierz jej tam od buczka do buczka”, a oni wyciągnęli ze swojej kryjówki jedwab płótno i inne rzeczy. Tak obladowali kobietę, że ta unieść tego nie umiała. Po pewnym czasie kobieta musiała o tym komuś rozgadać i rozeszło się to po okolicy. Jedna pazerna baba też zarobić chciała i do lasu poszła. Rzeczywiście mężczyznę spotkała, lecz nie została uprzedzona, w jaki sposób dostać wynagrodzenie i gdy mężczyzna poprosił o chleb, zwyzywała go i powiedziała, że ma sobie zarobić. Mężczyzna spytał się czy by kobieta nie mogła kupić mu gwoździ, bo musi sobie pocerować buty, dał jej dukata i poszła. Gdy kobieta wróciła z workiem gwoździ, mężczyzna zapytał się, czy nie bała się tak sama iść przez las, bo przecież w około grasują zbójnicy. Kobieta odparła, że nie, bo jakby ich spotkała, to by ich tymi gwoździami obsypała. Mężczyzna zapytał: „To wy ich nie lubicie?”, a kobieta odparła: „Nie ja ich nie lubię.” Wtedy jeden ją zagadał, a drugi poukładał gwoździe na pniu i gdy kobieta siadła, to cała się pokaleczyła. Wtedy mężczyzna powiedział: „To my jesteśmy tymi zbójnikami, tamta kobieta dostała, bo była dobra, a ty nie dostaniesz babo nic.”

* Takie opowieści krążyły w Zawadzkiem, takich nasłuchał się w dzieciństwie pan Roman, takie nadal pamięta. Według niego legendy o miejscowych Janosikach są oparte na historii prawdziwej, Pistulka i Eliaszy żyli naprawdę w XIX w. Opowiadane przy ogniskach, lub wieczorami przez dziadków stały się powszechnie znane pokoleniu pana Romana. Dzisiaj w Zawadzkiem pozostało jedynie ich echo. Obecnie wielu młodych ludzi nigdy nie słyszało o „zawadzkich Janosikach”. Są jednak jeszcze ludzie, pokroju pana Romana, którzy mogą opowiedzieć historie zaczerpnięte z ze skarbca miejscowych opowieści.

A KIEDY MIAŁEM WOLNY CZAS...

Czasy dzieciństwa kojarzą się Panu Romanowi przede wszystkim z zabawą, która była także częścią małego świata, jaki stworzył sobie w Zawadzkiem. Wolny czas spędzano wtedy w różny sposób. Propozycji było niewiele, mimo to nikt nie narzekał na nudę.

Ważnym ośrodkiem rozrywki było kino. Drewniany barak, na miejscu którego stoi nieczynny dziś budynek kinoteatru. Do kina najlepiej chodziło się podczas burzy, kiedy padał

deszcz. Wtedy Roman wraz z kolegami zakładali peleryny i wybierali się do kina. Najczęściej wyświetlanym repertuarem były filmy i kolorowe bajki ruskie. W okresie polonizacji puszczano wiele filmów propagandowych, takich jak np. „Iwan Groźny”. Roman oglądał filmy z Marleną Dietrich, ale jego ulubioną aktorką była Lubow Orłowa, znana z kreacji między innym w filmach „Wołga, Wołga”, czy „Świat się śmieje”. Bilety były tanie, każdy mógł sobie pozwolić na wypad do kina. Salę kinową Roman potrafi opisać do dziś: składała się z trzech podwyższeń i stołków klapowanych. Trzecie podwyższenie było najlepsze, tuż pod kamerami. Wtedy bardzo popularne było chodzenie do kina. Filmy, za wyjątkiem poniedziałku wyświetlano praktycznie codziennie. Czasami puszczano nawet po dwa i trzy seanse. Często bilety były wysprzedane długo przed filmem i trzeba było mieć znajomości, żeby dostać się na dobry film. Roman wspomina, że ikoną tego kina była szefowa, która prowadziła je twardą ręką i wprowadzała dyscyplinę. Jeśli leciał film od 16 lat to nie było mowy, żeby ktoś wszedł ktoś poniżej tego wieku. Bileterka sprawdzała zawsze wszystkim legitymacje. Jeśli ktoś przypadkiem się prześliznął pomiędzy rzędami, ona go w przerwie filmu wyłowiła wzrokiem i wyprowadzała za ucho.

Poza oglądaniem sztuki w kinie, Roman wraz z kolegami postanowili sztuką zająć się osobiście. W tym celu założyli orkiestrę o nieco onomatopeicznej nazwie „Rym, cym, cym”. Roman grał w niej na skrzypcach. Uczył się gry odkąd dostał skrzypce po zmarłym bracie. Kuzyn grał na harmonii, jeden z kolegów grał na trąbce, drugi na puzonie, trzeci na klawecie, czwarty na saksofonie. Pomiędzy dwoma jazami na Małej Panwi był staw, a po środku niego była wyspa, do której można było dojechać tylko łódką. Tam właśnie wybudowali sobie scenę do tańczenia i tam grali koncerty. Jeden z kolegów dowoził na wyspę tylko wybranych słuchaczy, czyli wszystkie znajome dziewczyny, natomiast chłopców tylko pewnych i lubianych przez członków orkiestry. Tam właśnie organizowali zabawy. Roman pamięta, jak dla reklamy w sobotę wieczór pakowali się do drewnianych wózków i grali, a koledzy ciągnęli wózek przez całe Zawadzkie. Wtedy członkowie kapeli grając, krzyczeli: „Jutro zabawa na Świerkli”. Ludzie przychodzili z całej okolicy, aby posłuchać miejscowych talentów. Zabawy te były według Romana na poziomie, ze względu na selekcjonowanie widowni. Nie każdy bowiem miał wstęp na występy. Ktoś, kto raz się naraził jednemu członkowi orkiestry, nie miał już prawa wstępu. Roman wspomina, jak kiedyś koledzy zrobili mu kawał i wsadzili do skrzypiec robaczki świętojańskie. Było ich wtedy wiele na wysepce. Roman wsadził skrzypce do skrzynki i poszedł do domu. Otworzył pudło i położył na nim skrzypce. Nagle w nocy mama zaczęła krzyczeć. To robaczki świętojańskie wylazły ze

skrzypiec i oświeślały swą poświatą, jak małymi, lampionami cały pokój.

MÓJ DOM, MOJE DRZEWA, MÓJ ŚWIAT

Większość wspomnień z dzieciństwa, związanych z małą ojczyzną wiąże się zazwyczaj z domem rodzinnym, w którym się dorasta. Tak też było z panem Romanem.

Ziemie pod dom Romana jego dziadowie odziedziczyli od hrabiego Colonney. W okolicy mieszkali właściwie sami krewni. Sąsiedzi byli prawie jak rodzina. Dookoła domu wszędzie roztaczały się pola, aż po sam kanał. Jediną drogą komunikacji była dzisiejsza ulica Chopina. Mając do wyboru mieszkanie przy głównej ulicy, przy zabudowie dookoła, a mieszkanie na uboczu, rodzina Romana wybrała peryferia. Dzięki temu zyskali kontakt z naturą. Roman bardzo się przyzwyczaił do stałego obcowania z przyrodą, zwłaszcza, że dom mieścił się niedaleko rzeki Mała Panew. Dom został wybudowany przez ojca Romana w 1928r. Ojciec musiał spełnić wszystkie trzy warunki niezbędne do miana prawdziwego mężczyzny: wybudował dom, spłodził syna i przyszedł czas na zasadzenie drzewa. Zasadził więc buk, służący za piorunochron i pełniący tę rolę do dnia obecnego. Szacunek do przyrody został wpojony Romanowi w domu rodzinnym. Do dzisiaj zna wszystkie gatunki ptaków i ryb, które żyją w okolicy. Pan Roman wiedział, jak szanować przyrodę i jak z niej korzystać. Każdy w Zawadzkim miał swoje małe poletko, swoje owoce i warzywa, wszystko było naturalnie hodowane i własne. Kiedy Roman wraz z ojcem przychodzili z kościoła niedzielnym przedpołudniem często udawali się na ryby, w które obfitowała

niezanieczyszczona jeszcze wtedy rzeka Małą Panew. Takie wspomnienia pozostaną w pamięci, zwłaszcza, że obecnie ryb w Małej Panwi już nie ma, ze względu na zbyt duże zanieczyszczenie. Czasem tylko można zobaczyć przepływające tamtędy kaczki.

* Pan Roman jest jedynym respondentem w naszej pracy, który nigdy nie opuścił małej ojczyzny. Chcieliśmy zestawić jego relację z historiami rozmówców, którzy utracili swoje. Jego relacja ma niejako kontrastować z tymi, o utracie małych ojczyzn. Mimo że przebywa w Zawadzkim całe życie, zauważa wiele nieodwracalnych zmian. Uważa się za lokalnego patriotę i autochtona. Czuje się bardziej Ślązakiem, niż Polakiem. W końcu kiedyś te ziemie należały do Niemiec. Takie regionalne przywiązanie cechuje wielu Ślązaków. Taka mentalność jest spowodowana, według pana Romana, specyficznymi dziejami Śląska. Miejskowe zwyczaje, tradycje i historię pan Roman ceni więc najbardziej. Dla niego

najważniejsze jest to co bliskie, świat, który zna osobiście, czyli właśnie jego mała ojczyzna.

Pan Roman wspomina swoje dzieciństwo dobrze, sądzi, że było ono wspaniałe, gdyż wychowali go wspaniali rodzice. Dorastał w otoczeniu niezwykłych dziadków, kuzynów. Wyczuwał bliskość sąsiadów, gdyż wszyscy żyli wspólnie. Pamięta miejscowy zwyczaj ustawiania przed domem ławeczek, na których zasiadali sąsiedzi po ciężkim dniu pracy. Wtedy był czas na rozmowy. Do niedawna jeszcze kilka domostw posiadało takie ławki, ale zwyczaj się zmieniły. Dziś już nikt nie siada przed domem, aby porozmawiać z sąsiadem. Pan Roman twierdzi z perspektywy lat, że człowiek może zmienić wszystko: religię, narodowość, upodobania, ale nie zmieni jednego – mentalności. Jest ona tak wpojona i zakorzeniona w ludziach, tak zlewająca się z miejscem dzieciństwa, że nie da się jej tak łatwo wykorzenić. Do tego trzeba całych pokoleń. Czasem mentalność może przeżywać kryzys. Według pana Romana taki kryzys mentalności w Zawadzkiem zaczął się właśnie teraz. Dlatego też „nowe” miasto nie jest mu tak bliskie jak stare.

DROHOBYCZ – NAJUKOCHAŃSZE MIASTO W SERCU I PAMIĘCI PANA KRZYSZTOFA WERNERA

„Mała ojczyzna to dość szerokie pojęcie, ale ja powiem tak: w odniesieniu do tej ojczyzny właściwej, do tej mnogiej, do tej naszej wspólnej ojczyzny, małą ojczyzną jest ziemia i groby naszych przodków.”

Krzysztof Werner, lat 81, pochodzi z Drohobycza na Ukrainie, obecnie zamieszkały w Opolu, woj. opolskie, żołnierz Armii Krajowej i aktywny działacz Światowego związku żołnierzy Armii Krajowej w Opolu

Zaznaczamy, że relacja pana Krzysztofa znacznie różni się od przekazu innych rozmówców. Pan Krzysztof w swojej opowieści operuje własnym stylem. Nie należy do respondentów, którzy zwyczajnie odpowiadają na pytania. On snuje własną opowieść, stwarza własny styl. Dlatego postanowiliśmy zamiast opracowania wywiadu przedstawić bezpośrednio relację pana Krzysztofa. Mimo iż fragmenty wierszy i opisów Drohobycza znanych twórców nie powinny się znaleźć w tej pracy, sądzymy, że nie możemy ich pominąć

ze względu właśnie na całość opowieści. Pan Krzysztof niczego nie odczytuje, wszystkie utwory na temat Drohobycza cytuje z pamięci. Jest to jeden z jego sposobów na opis Drohobycza. Wykreślenie tych fragmentów byłoby równoznaczne z pozbawieniem go jego własnego sposobu przedstawiania wspomnień. Pan Krzysztof poruszająco rozpoczyna swój monolog wierszem Kazimierza Wierzyńskiego - „*KSIEŻYC*”

*Za czym ja krążę?
Za księżycem,
czem on mnie wabi?
Drohobyczem. (...)*

*Widzę, poznaję
tamte strony.
Kto mnie tam woła?
Ktoś zagubiony*

*Po co mnie wzywa
Tak niewcześnie?
Byś wrócił tam, gdzie
Błądzisz we śnie.*

*A poza snem tym
co się chowa?
Ach, ziemia, ziemia
księżycowa.*

Kazimierz Wierzyński, kiedy osiadł na zachodzie, z tęsknoty za Drohobyczem, napisał ten właśnie wiersz o mieście, który jest miejscem także mojego urodzenia. Bruno Schulz, w jakimś sensie ikona Drohobycza, który także był bardzo z nim związany pisze tak:

*Tam, gdzie mapa staje się już bardzo południowa,
płowa od słońca, pociemniała i spalona od pogód lata,
jak gruszka dojrzała – tam leży ona jak kot na słońcu-
ta wybrana kraina, ta prowincja osobliwa,
to miasto jedyne na świecie - Drohobycz*

Mała ojczyzna to dość szerokie pojęcie, ale ja powiem tak: w odniesieniu do tej ojczyzny właściwej, do tej mnogiej, do tej naszej wspólnej ojczyzny, małą ojczyzną jest ziemia i groby przodków. Dlatego jesteśmy związani z nią mimo że losy nas różnie

kształtowały i rzuciły daleko od ukochanych kresów. My ciągle żyjemy kresami, ciągle żyjemy miejscem naszego urodzenia. Bo tam przyszliśmy na świat, tam snem wiecznym śpią nasi dziadowie i pradziadowie. Tam spędziliśmy piękne, sielskie, anielskie dzieciństwo. Właśnie tam musieliśmy przekształcić się w postacie dorosłych ludzi podczas okupacji. Nie mieliśmy takiego okresu młodości jak wy, dlatego ciągle tkwimy tam. Można zapytać, dlaczego my tak ciągle ciężymy do tego miejsca. Otóż to wciąż bardzo leży nam na sercu. Można mieszkać, opływać w dostatki gdzie indziej, ale wraca się ciągle tam. Mój starszy kolega Andrzej Kściuk, pisarz, który po wojnie znalazł się w Australii, napisał dwie przepiękne książki, bardzo nostalgiczne. Pierwsza z nich to „Ziemia Księżycowa”, druga to „Atlantyda” (czyli ląd zaginiony). Pierwotnie Marian Hemar napisał przepiękną recenzję na temat tej książki. Pisze tak:

Jest takie dziwne miasto w Polsce, miasto jak gdyby nie na serio.

Jednocześnie najbardziej swojskie i najbardziej rodzime.

Miasto ekstrawersji i operetki, miasto przedmiot kpin i kawałów.

Miasto nagłych fortun i nagłych krachów.

Miasto a właściwie półtorej miasta: pół polskie, pół ukraińskie pół żydowskie.

Miasto Drohobycz.

Tak pisał Hemar, postać nietuzinkowa. To jest ta wartość tych małych ojczyzn. Do małej ojczyzny mojej często wracam. Byłem organizatorem trzech pielgrzymek właśnie tam. Jedna z nich, w 1992r., była związana z 600-leciem kościoła (fary drohobyckiej). Organizowałem ją z moimi znajomymi z lat szkolnych, towarzyszami okupacji. Jechaliśmy po to, by w ramach uroczystości 600-lecia w kościele, gdzie byliśmy chrzczeni i przyjmowaliśmy pierwszą komunię św., zamontować tablicę związaną z 50. rocznicą powołania Armii Krajowej. Ja projektowałem tablicę, którą wykonali tamtejsi rzemieślnicy w kamieniu. Napis głosił: „Pamięci walki i męczeństwa żołnierzy Armii Krajowej inspektoratu południowo zachodniego Drohobycz w 50. rocznicę powołania Armii Krajowej - Polacy ziemi drohobyckiej i towarzysze broni z kraju.” Taka tablica wisi tam do dziś. Jest to jedyna tablica poświęcona żołnierzom AK na naszych dawnych kresach. W żadnych kościołach na kresach nie ma podobnej. Jestem organizatorem corocznych zjazdów koleżeńskich, między innymi w tamtym roku odbył się taki zjazd w Turawie, już 17. Zjeżdżamy się z całej Polski i trzy dni spędzamy razem. W tym roku organizuję taki pożegnalny wyjazd na kresy w sierpniu, może już ostatni. Ze względu na wiek nie uda nam się prawdopodobnie jeszcze raz przyjechać na

kresy. Wyjazd jest związany z odpustem św. Bartłomieja, (poza tym fara drohobycka ma jeszcze dwa wezwania Trójcy Przenajświętszej i Najświętszej Marii Panny). Świątynia jest wiekowa, erygowana przez Władysława Jagiełłę 16.12.1392r. Budowali ją ci sami budowniczowie co katedrę łacińską we Lwowie. Z tą katedrą wiąże się przepiękna historia. Sienkiewicz, opisując bitwę pod Grunwaldem, pisze o krzyżakach, którzy chcieli upokorzyć Polaków, przysyłając im dwa nagie miecze. Otóż te dwa nagie miecze odbierał z rąk krzyżaków dworzanin królewski i jego współtowarzysz rycerz Jan Mężyk z Dąbrowy herbu Wadwic. Później Władysław Jagiełło nagradza go starostwem drohobyckim. Następnie Jan wystawia przepiękny alabastrowy gotycki kościół, którego bryła do dzisiaj pozostaje niezmieniona. Jest to jeden z najważniejszych zabytków na kresach. U góry widnieją dwa kartusze, jeden z autentycznym piętnastowiecznym orłem jagiellońskim. Drugi był z herbem Mężyka, ale wraz z pierwszym rozbiorem Polski Austriacy go zmienili i teraz ma on herb Drohobycza (dziewięć topek soli). Wejście jest nazywane „bramą Mężyka”, który ufundował dwa kamienne miecze długości ok. 3m. Był to pierwszy pomnik grunwaldzki na ziemiach polskich. Wśród innych drohobyckich zabytków odznacza się synagoga żydowska, pochodząca z dziewiętnastego wieku. Jest ona bodajże największą co do rozmiarów synagogą żydowską w Europie. Drohobycz ma swoją własną, malowaną historię. Malował ją Feliks Lachowicz. Jest to zbiór 94 rysunków malowanych na kartonie akwarelą. Przedstawia historię Drohobycza od czasów najdawniejszych do 1939r. W tej chwili znajdują się w Ossolineum, gdzie przekazała je, zgodnie z wolą ojca, córka artysty. Takiej namalowanej historii nie ma żadne inne miasto w Europie. Owszem Kraków ma Kodeks Bohema i na tym się kończy. Drohobycz ma całą galerię.

Drohobycz był jednym z najbogatszych miast powiatowych w okresie międzywojnia. Trzeba pamiętać, że był stolicą zagłębia naftowego, które obejmowało Drohobycz, rafinerie, których było sześć w jednym miejscu. Borysław, Rybnik, całe Pogórze Karpackie, to ogromne skupiska szybów naftowych. W latach dwudziestych zbudowano w Drohobyczu jedną z najnowocześniejszych i największych rafinerii. To była rafineria państwowa o nazwie Polmin. Był to zakład, w którym uruchomiono pierwszy w Polsce akcjonariat pracowniczy. Rafineria była budowana przez konsorcja amerykańskie z wykorzystaniem najnowocześniejszej aparatury. W 1944r. nalot amerykański obrócił niestety Polmin w gruzy. Polmin produkował najwyższej jakości oleje silnikowe, które w większości szły na eksport. Zagłębie naftowe to ogromne fortuny. Drohobycz to było jedyne miasto w Polsce, gdzie w sądzie grodzkim było zatrudnionych ponad 30 sędziów. W żadnym sądzie w Polsce międzywojennej nie było zatrudnionych tylu sędziów naraz. Takie zapotrzebowanie związane było z funkcjonowaniem

potencjału ekonomicznego, jakim było zagłębie naftowe. Ciągłe umowy, ciągłe transfery. Potrzeba było ogromnej ilości sędziów i notariuszy. Bogactwo Drohobyczka bierze się też z soli. Sól to był skarb tej ziemi. Do dnia dzisiejszego istnieje Salina, zakład wydobywający solankę. Sól była sprzedawana na obszarze całej Rusi. Między innymi za sól kupiono cerkiew, którą złożono i postawiono w Drohobyczu. Cerkiew św. Jura to zabytek bodajże klasy zero.

Własnego domu nie posiadaliśmy, gdyż mój ojciec był wyższym urzędnikiem kolejowym i mieszkaliśmy w kamienicy, która była pod zarządem kolei państwowych. Tam przyszedłem na świat. W 2006r., ponieważ jestem członkiem honorowym Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, byłem zaproszony na niezwykłą uroczystość, związaną z ponownym odrestaurowaniem Grobu Nieznanego Żołnierza, w którym między innymi spoczywają prochy mojego dziada i pradziada. Uroczystość niebywała, bo związana z przyjazdem przedstawicieli miast, które mają związki kulturalne, łącznie z delegacją wojskową. Poszedłem do mieszkania, w którym się urodziłem, zamieszkałym w tej chwili przez Ukraińca. Ukraińcy są bardzo nieufni w stosunku do obcych. Ponieważ ja płynnie mówię i piszę po ukraińsku oraz rosyjsku, mogliśmy nawiązać kontakt. Moja daleka kuzynka, która była ze mną powiedziała, że chcieliśmy zwiedzić to mieszkanie, bo ten pan się tu urodził. Oczy Ukraińcowi zrobiły się ogromne jak talarki ze zdziwienia. Zapytał, czy się tu urodziłem, ja odpowiedziałem: „Tak ja się tu urodziłem”. Dalej nie wierzył, to ja mu powiedziałem: „Widzisz chłopie tę dziurkę od klucza”, a on powiedział, że owszem i że tam jest zamek. Ja mówię: „Tak, tam jest zamek, a klucz od zamka jest u mnie w domu w Opolu”. (Z tym, że jeszcze miał dwa inne zamki). Mężczyzna nie mógł w to uwierzyć. Wtedy poprosił mnie, żebym mu przywiózł ten klucz. Ten zamek nie działał odkąd tam mieszkał, bo nikt nie miał klucza do niego. Tak, to był specjalny zamek bertheimowski. Nie mógł się nadziwić, że ja 78 lat temu urodziłem się tam i mam klucz do mieszkania, w którym on mieszka. Z tym, że mieszkanie chłopu zredukowano, kiedyś były tam trzy pokoje z kuchnią, teraz ma tylko jeden pokój. To są właśnie związki z małą ojczyzną, nas już tam nie ma, a klucz od mieszkania przechowuje się w kasetce pancерnej.

Stosunki między nacjami były zupełnie poprawne, to współzycie było datowane od wieków. Żydzi te tereny zamieszkują od bardzo dawnych czasów, sięgających bodajże szesnastego wieku. Królowie polscy przywilejami królewskimi zobowiązali magistrat miasta Drohobycz do wydzielenia Żydom takiego niewielkiego terytorium pod dzielnicę żydowską, która istniała do czasów getta. Na tym łanie pozwolono im mieszkać i kupczyć. Stosunki z Ukraińcami także były dość dobre do 1939r. Dopiero powstanie UPA zaostrzyło sytuację, której nie można jednak porównywać tego do tego, co się działo na Wołyniu. W 1556r., na

dworze króla w obecności starosty Jana Starzychowskiego, spisano ugodę pomiędzy mieszczanami rzymsko-katolickim i greko-katolickimi, iż w żadnych sporach między sobą nie będą występować do jego wysokości króla, a jako ludzie jednego Boga i Pana wzajemnie miłować się mają. To jest świadectwo tego wiekowego współżycia, jest to odnotowane w księgach radzieckich miasta. Niestety wojna zmieniła wszystko. O czasie okupacji można by było napisać epopeję. Okupacja to był ogólnie istniejący, wszechwładny terror, wywózki, aresztowania. Niełatwo było żyć, gdy władza dążyła do izolacji inteligencji. To była martyrologia. Nam się tak szczęśliwie udało, że nie zostaliśmy wywiezieni. Łapanki, wywózki do Niemiec na roboty to była codzienność. Obaj okupanci byli równie okrutni. Tylko młodzieży uczącej się nie wywożono. Ciągłe kłopoty z zaopatrzeniem, trzeba było zmieniać metryki na młodsze. Zdarłem buty do imentu. Mama dostała przydział na drewniaki i chodziłem w nich kilka lat, przywieźli je potem do Opola. W okresie Niemców były kartki, chleba nie było za dużo, ok. 40 dag dziennego przydziału. Trzeba było kombinować, jeździło się na wieś na wymiany do Polaków. W okolicach Drohobycza rolnictwo było szczątkowe, Jeździliśmy więc do okolic Lwowa. My mieliśmy zamiennik w postaci soli i nafty, i mogliśmy wymieniać. W pociągach były łapanki, musieliśmy wyskakiwać z pociągu. Od 1942r. uczęszczałem na tajne komplety. Tak skończyłem pierwszą i drugą klasę gimnazjum.

Muszę powiedzieć, że myśmy się wychowali w zupełnie innych warunkach, gdyż jesteśmy właściwie pokoleniem rocznika Kolumbów. Czyli lata dwudzieste. Wychowaliśmy się w specyficznej atmosferze, w której nadrzędną rolę spełniało niesamowite wydarzenie, to jest odzyskanie niepodległości w 1918r. Muszę powiedzieć, że czytałem krzyżaków, kiedy kończyłem szóstą klasę szkoły powszechnej. Wychowywaliśmy się wtedy przede wszystkim na Sienkiewiczu. To jest takie piękne przesłanie, bo Sienkiewicz jest dla mnie takim piewcą kresów, Dlatego jest dla mnie autorytetem. Różnie traktują powieści Sienkiewicza, mimo to uważam, że jego twórczość zaważyła na naszym wychowaniu, tak jak szkoła. Szkoła przekazała nam ogromny szacunek dla nauczycieli, którzy też w większości służyli w legionach, oddawali się społecznej pracy w organizacji oddziałów paramilitarnych. W szkole zwracano uwagę na wielką estymę dla orła białego. Odczuwaliśmy wobec nauczycieli szacunek i podziw. W przeciwieństwie do dnia dzisiejszego, wychowano nas w takim ogromnym szacunku dla biało - czerwonych, dla tych barw ginęły przecież setki tysięcy Polaków. Ośmielam się twierdzić, że dzisiaj my tę białą czerwoną to nawet hańbimy, byle jaki strajk, a od razu wystawiają flagę. Pałą opone razem z białą - czerwoną flagą – to powinno być karane. Nie mogę na to wszystko patrzeć. Trzeba pamiętać, że nasi rodzice brali udział w odzyskiwaniu niepodległości. Mój ojciec w 1917r. został zmobilizowany jeszcze do armii

austriackiej. Brał udział w walkach we Włoszech. Potem wstąpił do Wojska Polskiego, w którym służył od 1918 do 1922r. Brał udział w obronie Lwowa, podczas nawały bolszewickiej, która zalała kresy wschodnie. Ojciec służył w stopniu starszego sierżanta w 6 baonie zapasowym cytadeli lwowskiej. To były wojska obrony Lwowa. Do mobilizacji austriackiej był pracownikiem kolei. Dziadek był kierownikiem parowozowni w Drohobyczu. Mama pracowała też jako kasjerka na kolei. Moja rodzina to była taka rodzina starych kolejarzy drohobyckich. Mój ojciec po objęciu funkcji kierownika rachuby pracował na tym stanowisku do momentu aresztowania (5.10. 1939r.). Poza tym sprawował wiele rozmaitych funkcji. Był kierownikiem klubu piłkarskiego kolejarzy, zastępcą komendanta Związku Strzeleckiego w Drohobyczu, w stopniu podporucznika rezerwy. Stąd u mnie to umiłowanie wojska, ten szacunek dla wojska, dla barw biało czerwonych, dla białych orłów. To wszystko wyniosłem z domu. Tego nauczyłem się od ojca. W mojej rodzinie tradycje wojskowe były obecne od dawna. Mój najstarszy stryj był porucznikiem 145 Pułku 7 Dywizji, zginął pod Warszawą 20 sierpnia, z ran zadanych podczas „cudu nad Wisłą”. Kolejny stryj był podoficerem zawodowym, później przeszedł szlak bojowy poprzez sowieckie łagry, Monte Cassino, Bolonię, Ankone, potem powrót do kraju. Najmłodszy mój stryj był zawodowym podoficerem, a później oficerem. Służył w marynarce wojennej, wchodził między innymi w skład komisji odbioru „Błyskawicy” w 1938r. W czasie wojny służył na „Błyskawicy”, następnie był dowódcą kutra torpedowego. Ojciec zawsze uważał, że względu na wychowanie patriotyczne, że ja po ukończeniu 6 klasy, powinienem zostać elewem w 1 korpusie kadetów we Lwowie. Gdyby nie 39 rok w 1940r. zostałbym elewem. Mój ojciec, który był dla mnie przede wszystkim ogromnym autorytetem, marzył o tym zwłaszcza ze względu na tę rodzinną tradycję. Pamiętam moment, kiedy NKWD aresztowało ojca, i widziałem go po raz ostatni. Po rewizji, kiedy odprowadza go NKWD, wychodząc z naszego mieszkania, odwraca się na progu i powiada tak: „Pamiętaj synu, żebyś był zawsze dobry dla żołnierzy.” Zauważam teraz w tych słowach ogromną jakąś taką przewidywalność. Widzę ojca, który mimo NKWD, okupacji sowieckiej ciągle wierzy, że będziemy kiedyś niepodlegli i że jego syn kiedyś na pewno zrobi jakąś karierę wojskową. Kariery właściwie żadnej nie zrobiłem, ale z wojskiem byłem związany. Podczas okupacji niemieckiej zostałem zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej 02.02.1944r. W efekcie prowadzenia działalności okupacyjnej po powtórным wkroczeniu Sowietów do Drohobycza 26.10, po pięciu miesiącach brutalnego śledztwa byliśmy w liczbie ośmiu członków z plutonu, sądzeni jako pierwsza grupa Polaków w Drohobyczu przez wojenny trybunał NKWD. Posypały się wyroki . Dowódca plutonu - 15 lat katorgi, dowódca 1 drużyny – 15 lat katorgi, pozostała nasza

szóstka dostała 10 lat ciężkich łagrów, za przynależność i działalność w Armii Krajowej.

Wolność odzyskaliśmy dopiero po 10 latach. Wróciłem do kraju 16.11 1955r., czyli po jedenastu latach. Już nie wróciłem do Drohobycza, tylko do kraju. Obecnie zmieniło się sporo w Drohobyczu, ale w okresie, kiedy Ukraina ogłosiła niepodległość, zmienia się na lepsze. Nadal są tam trudności ekonomiczne. Dlaczego w dalszym ciągle tak zaniedbane są kamienice secesyjne w Drohobyczu? Otóż ludzie tam twierdzą, że polska od kilku lat rozbudowuje kapitalizm, natomiast Ukraina nie potrafi sobie poradzić ze spadkiem ZSRR. Zachowały się przepiękne, secesyjne witraże i klatki schodowe. Żeby sobie uświadomić jak wyglądał Drohobycz, trzeba pojechać do Jarosławia, który jest też miastem typowo galicyjskim. Ciągle w nas tkwi ta tęsknota, to umiłowanie rodzinnego miasta. W 2006r. na mszy świętej powiedziałem, że jesteśmy takimi przelotnymi ptakami, które starają się znowuż przylecieć i przylecimy w tym roku. Prawdopodobnie ta mała ojczyzna zostanie w naszych sercach, w naszym działaniu, w naszym przekazywaniu dzieciom, wnukom, prawdopodobnie zostanie na zawsze, tak długo, póki żyjemy. Oczywiście młodzież ma zupełnie inne podejście do tego, być może za bardzo konsumpcyjne, za bardzo podyktowane nowinkami technicznymi. Wy nie macie za czym tęsknić, bo jesteście na miejscu. My to tak właśnie jak te przelotne ptaki odleciały, przylatują, popatrzą, popłaczą i wracają. Docenia się małą ojczyznę kiedy się ją utraci. Mała ojczyzna to niewielka część tej dużej ojczyzny. My uważamy ciągle, że to jest nasze miasto, tam się urodziłyśmy, nie chcę byśmy byli uważani za jakichś rewizjonistów. Stamtąd się wywodzi nasz ród. Ciągle wracamy tam myślami, a przede wszystkim działaniem. Dlatego działałam na rzecz Stowarzyszenia Ziemi Drohobyckiej, dla upamiętnienia, ponieważ uważam, że naszym działaniem dajemy świadectwo prawdzie. Nie można tego zapomnieć. Zabytki kultury przecież świadczą o kulturze polskiej na tamtych terenach. Choć historycy ukraińscy interpretują to na różne sposoby. Na szczęście na Ukrainie jest jeszcze wielu Polaków, którzy pamiętają o polskości na tych terenach. Polscy drohobyczanie wzniesli statuę Jana Pawła II. W czasie tej uroczystości władze ukraińskie zgodziły się na odtworzenie pomnika grunwaldzkiego. Kiedyś tego typu wydarzenia były ważne. Ważna była twórczość Matejki, znaczenie powstań. Kto dziś mówi o powstaniu listopadowym, czy nawet o warszawskim? Ostatnio, 14 lutego cały dzień czekałem, aż ktoś powie w telewizji, że to jest rocznica przemianowania ZWZ na Armię Krajową, ale niestety nikt nie powiedział o tym słowa. Mowa była jedynie o walentynkach.

Uważam, że można mieć tylko jedną małą ojczyznę, która się zawiera właśnie w tej mnogiej. Nie kocha się w niej jakiegoś jednego drzewa, jednego miejsca – kocha się wszystko. Małą ojczyznę trzeba postrzegać całościowo, nie można jej traktować wybiórczo.

Trzeba ją zachować w swojej pamięci i w sercu. To przecież była ziemia naszych ojców. Nie możemy się jej ani wyrzec, ani zapomnieć o niej. Możemy tylko miło wspominać. Moją małą ojczyzną jest ziemia drohobycka, niestety już niepolska. Nie istnieje dla mnie takie słowo jak repatriacja, to była ekspatriacja. Ludzie zostali stamtąd wypędzeni, na mocy postanowień teherańskich, jałtańskich i poczdamskich. Wiedzieliśmy, że nie wrócimy do tej naszej małej ojczyzny. Wierzyliśmy, że jeśli Bóg pozwoli, to wrócimy do kraju i Bóg pozwolił, ale już nie do Drohobycza. Zastaliśmy jedynie nieznaną rzeczywistość, jaką był PRL. Nagle znaleźliśmy się w innym świecie. Powrót do Drohobycza był nierealny. Nie mieliśmy do czego wracać. Tam mieszkają już inni ludzie, także drohobyczanie, którzy, tak jak my, tam się urodzili. My możemy jedynie tęsknić za tym „utraconym rajem”. Zostało nam tylko zwiedzanie starych kątów i oglądanie, co się zmieniło.

Pan Krzysztof w swojej złożonej relacji zestawia wspomnienia własne z przekazem twórców z kresów i przekazem historycznym. Dopiero takie zestawienie daje pełny obraz jego opowieści i wspomnień. Każdy fragment jest cytowany z pamięci, podobnie jak wszystkie daty historyczne. Z jego opowieści można wysnuć parę interesujących wniosków. Po pierwsze opowiadając o czymś mówi nie w imieniu jedynie swoim, ale niemal zawsze w formie „my”. Wskazuje to na niezwykłą zażyłość z ludźmi ze swojego miasta, którzy byli nie tylko znajomymi ze szkoły lub uczestnikami zabaw, ale także towarzyszami okupacji, działaczami AK, osobami niezastąpionymi, przyjaciółmi w czasie niedoli. Widać jakie więzi łączą tych ludzi tu w Polsce. Ludzi, których łączy wiele, a przede wszystkim jedno – tęsknota za ich małą, utraconą ojczyzną, jaką jest Drohobycz. Widać, że te więzi są mocno podtrzymywane przez samego pana Krzysztofa, który jest inicjatorem wielu wyjazdów i działa w wielu organizacjach, między innymi w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Opolu, spotyka się nadal z Kresowiakami, towarzyszami broni. W relacji pana Krzysztofa widać ogromną dumę ze swojego rodzinnego miasta. Wiedza z zakresu historii na temat Drohobycza jest imponująca, pan Krzysztof nadal się interesuje dziejami i rozwojem miasta. Być może historia jest mu tematem tak bliskim, gdyż jest jej niejako współtwórcą, za co zapłacił wysoką cenę, spędzając dziesięć lat w łagrze. Pan Krzysztof jest znakomitym przykładem miłości zarówno do Polski, jak i do małej ojczyzny. Drohobycz był niezwykłym miastem. Był miejscem krzyżowania się tradycji lokalnych (związanych z zabytkami miasta, osiągnięciami przemysłu naftowego) z opozycją w czasie okupacji, jaką była Armia Krajowa. (Pan Krzysztof, co ciekawe nigdy nie używa skrótu AK. Zawsze go rozwija.). Armia Krajowa wiele dla niego znaczy. Do dziś uczestniczy w wielu zjazdach, które także sam organizuje. Działalność w AK wiąże się także z szacunkiem do ojca i wojskowych tradycji rodzinnych. W

relacji widać ogromną miłość do kresów, a co się z tym wiąże szacunek do Sienkiewicza, jako ich piewcy. Jego opowieść odbiega od historii pozostałych respondentów, dlatego postanowiliśmy ją zamieścić na samym końcu naszej pracy. Żałujemy, że relacja, choć spisana, nie oddaje do końca charakteru opowieści pana Krzysztofa. Bowiem dumy w jego głosie, gdy opowiadał o Drohobyczu nie opisze żaden tekst.

Zakończenie i wnioski

Wysłuchaliśmy wielu relacji, niezwykłych historii i wspomnień wydobytych z najskrytszych zakamarków pamięci. Każda z opowieści stworzyła indywidualny i niepowtarzalny w swoim kolorycie obraz małej ojczyzny. Naszym celem było wydobyć od respondentów ile znaczy dla nich to pojęcie i przede wszystkim w jaki sposób by je zdefiniowali. Zazwyczaj robili to w podobny sposób. Małą ojczyznę określali, ogólnie rzecz ujmując, jako miejsce urodzenia, dzieciństwa i młodości - rodzinne strony, w których się wychowali. Taka definicja jest jednak niepełna. Odkryliśmy bowiem ich prawdziwą małą ojczyznę w na pozór nic nie znaczących, niewielkich szczegółach: w opisie domu, gestu matki, zabawy, drzewa czy rzeki. Z takiej mozaiki nagromadzonych wspomnień można dopiero wydobyć prawdziwy, pełny obraz małej ojczyzny.

Naszym celem było zrewidowanie, czy mała ojczyzna stała się dla naszych rozmówców „rajem utraconym”. Sądzymy, że cel został osiągnięty. Jedni respondenci wypowiadali się twierdząco wprost. Mimo iż niektórzy precyzyjnie nie określali swojego stosunku do tej kwestii, między wierszami możemy wyczytać, iż każdy z naszych respondentów w jakiś sposób utracił swoją małą ojczyznę. Można podzielić naszych rozmówców na kilka kategorii. Pierwszą tworzą pan Krzysztof i pan Zenon, którym małe ojczyzny zostały wydarte siłą. Machina zdarzeń historycznych sprawiła, że nie mogli oni się temu przeciwstawić. Utrata była więc niewątpliwa. Następnie mamy przykłady pani Kazimiery i pani Maryny, które opuściły swoje małe ojczyzny dobrowolnie i nigdy już do nich nie powróciły. Pan Henryk jest przykładem przejściowej utraty małej ojczyzny, do której jako jedyny z naszych rozmówców po wyjeździe powrócił. Wyjazd dał mu świadomość utraty małej ojczyzny, nauczył go doceniać ją i szanować. Pan Roman nigdy nie opuścił swoich rodzinnych stron. Jednak w jego przypadku także możemy mówić o utracie, ale bardziej w przenośnym znaczeniu. Jego rodzinne Zawadzkie nie oparło się działaniu historii. Czas zmiotł z powierzchni ziemi wiele budynków, miejsc, drzew, które pozostają dziś jedynie we wspomnieniach pana Romana. Czas zmienia wszystko, obraca w pył to, co się kocha, pozbawia złudzeń, utwierdza w przekonaniu o przemijaniu. Dlatego doszliśmy do wniosku, że ludzie, którzy odeszli ze swoich małych ojczyzn utracili je nie raz, nie dwa, lecz wiele razy. Tracą je oni z każdym wyciętym, ukochanym drzewem, z każdym nowo postawionym budynkiem, który sieje uczucie obcości.

Wszyscy rozmówcy wspominali o zmianach jakie zaszły w ich miejscowościach.

Doszliśmy do wniosku, że odbierają je w sposób negatywny. Odczuwają to jako rodzaj ingerencji, w swój świat, w swoją intymność. Tolerują te zmiany, ale chyba nie do końca je akceptują. Być może dzieje się tak dlatego, gdyż zmiany naruszają ten obraz, który utkwiał im we wspomnieniach i w pamięci. Coraz mniej komponuje się on z obrazem, który obecnie przedstawia ją.

Mimo że żaden rozmówca się do tego nie przyznał, sądzimy, iż obraz ich małych ojczyzn jest wyidealizowany. Wskazują na to charakterystyczne formy wypowiedzi, tematyka, stan emocjonalny, jaki towarzyszy relacjom. Wszystkie te elementy mają wybitnie pozytywny wyraz. Np. w formach wypowiedzi nasi rozmówcy używają często przymiotników określających dane miejsca w następujący sposób, np. „wspaniały świat”, „przemili ludzie”, „lepiej niż dzisiaj”. Usprawiedliwiają negatywne aspekty rzeczywistości swoich małych ojczyzn, np. pan Zenon wypiera temat skłonności alkoholowych ojców, eksponując bardziej postać matki. Stan emocjonalny wypowiedzi też warty jest podkreślenia. Np. pan Krzysztof, mówiąc o Drohobyczu, podkreśla dumę, mówi z ożywieniem. Wszyscy rozmówcy roprawiają z radością o swoich wspomnieniach, żałują, że tak niewiele młodzieży podejmuje tego typu tematy, na które by chętnie porozmawiali. Kilkoro z nich zaprasza ponownie. Tematyka często jest paralelna, dotyczy zazwyczaj czasów szkolnych, domu rodzinnego, niezwykłego autorytetu któregoś z rodziców. Co ciekawe tylko jeden z nich występuje w roli wzoru do naśladowania we wszystkich wysłuchanych przez nas relacjach. Wypowiedzi koncentrują się też wokół domu, ogrodu. W ich opisie wszystko układa się w niezwykle harmonijny, uporządkowany świat zdarzeń, ludzi, miejsc i uczuć.

Wystąpiły też i różnice. Osoby z Kresów Wschodnich bardzo umiejętnie odróżniają nastawienie emocjonalne do tzw. małej ojczyzny, od patriotyzmu, rozumianego jako miłość do „ojczyzny wielkiej”. Np. pan Krzysztof wprost mówi, że przywiązanie do Drohobycza nie należy do patriotyzmu, który jest pojęciem zarezerwowanym dla uczuć żywionych wobec całego kraju, państwa i narodu. Pan Roman zaś podkreśla wprost, że jest lokalnym patriotą. Jest i trzecia grupa, którą reprezentują państwo Lasowi i pan Piechota, którzy w ogóle nie odnoszą się do tych pojęć, nawet pytani o nie. Wyraźnie widać, że pani Maryna i pan Krzysztof ujmują swoje wypowiedzi w politycznym kontekście, co u innych występuje w o wiele mniejszym stopniu, lub w ogóle. Wynika to z poczucia krzywdy – wysiedlenie, katorga, nacjonalizacja apteki, szykanowanie w pracy. Osoby te płaciły w ten sposób za swoje pochodzenie społeczne (pani Maryna), albo za żarliwy patriotyzm (żołnierz Armii Krajowej Krzysztof Werner, pseudonim „Kmicic”). Cierpią niewinnie.

Szukaliśmy u każdego rozmówcy atrybutu małej ojczyzny, z którą kojarzyliby ją. I

wszyscy wskazywali jeden, bądź kilka takich centralnych punktów: pan Zenon – jabłoń; Roman – hutę; Maryna – ojca i aptekę; Kazimiera – Matkę i wartości przez nią przekazane; Henryk - restaurację i babcię. Wyjątek stanowi pan Krzysztof, który opisuje swoją małą ojczyznę tylko w kontekście ogólnonarodowym. Podkreśla on wkład sławnych drohobyczan w kulturę i gospodarkę polską (Wierzyński, Schulz, nacierze polscy). Mówi o całym mieście, o jego atmosferze, a pomija szczegóły związane np. z domem. Kiedy wspomina ojca, to czyni to jedynie po to, aby podkreślić jego wkład w naukę swojego patriotyzmu (służba wojskowa, barwy narodowe, AK). Jego wypowiedź miała charakter niejako wykładu historyczno – kulturowego, ze wstępem, rozwinięciem i podsumowaniem. Trudno nam było zadać mu niektóre pytania, gdyż często kwestionował ich zasadność, np. uważał za dziecinne pytania dotyczące jego życia codziennego.

Często spotykaliśmy się z pojęciem małej ojczyzny jako „raju utraconego”. Chcieliśmy sprawdzić, czy funkcjonuje ta zasada. Wspomnieliśmy wyżej, że faktycznie wszyscy nasi rozmówcy z żalem wspominają fakt, że ich ojczyzny nie są już takie, albo, że w nich nie mieszkają. Mają poczucie utraty. Ale paradoksalnie, co udało nam się odkryć, nie jest to do końca prawda. Fizycznie małą ojczyznę można utracić, lub może się ona diametralnie odmienić, przekształcić, co także jest formą utraty. Lecz obrazu ojczyzny, który nieustannie tkwi w pamięci i w sercu nie traci się nigdy. Jest nim obraz młodych lat.

Możemy spróbować w czym tkwi sedno pojęcia małej ojczyzny. Sedno tkwi chyba niekoniecznie w charakterze miejsca w sensie fizycznym, które ustępuje procesowi, któremu podlega człowiek w pierwszym okresie swojego życia. Dzieciństwo i młodość jest etapem kształtowania osobowości. W tym kontekście ważniejsi stają się ludzie, którym właściwości miejsca służą do unaocznienia młodemu człowiekowi podstawowych zasad życia. Np. rodzice, przy pomocy przedmiotów i cech fizycznych domu ,krajobrazu, uczą dzieci pojęć. Później wprowadzają je w życie społeczne i wpajają wartości, specyficzne dla danego miejsca, a jednak uniwersalne. Ten obraz jest fundamentem, na którym człowiek buduje swoje przyszłe życie. Dlatego tak ważna staje się mała ojczyzna. I dlatego małą ojczyznę traktujemy jako społeczność i miejsce. Z małej ojczyzny wynosimy etos wartości, zestaw archetypów postaw i zachowań wobec świata. Niektóre z nich są tak głęboko i często podświadomie zakorzenione, że mogłyby wskazać z jakiej małej ojczyzny pochodzimy (np. akcent w mowie, zwyczaje, ulubione potrawy, mentalność). Dlatego w relacjach naszych respondentów jawi się ona jako kraj młodości, bo tam bierze początek wszystko, co potem decyduje o ich tożsamości i jest wyznacznikiem moralnego ładu.